Wpisano do kontrolki periodyków
I Miejskiej wypożyczalni księgozbioru
dla dorosłych
do 2—10 49

W numerze m. in.:

M. WIONCZEK
A. OBRĘBSKA-JABŁOŃSKA
J. KULCZYCKA-SALONI
S. WYGODZKI
H. VOGLER
A. LITWIN

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron Warszawa, 2 października 1949 r. Nr 39 (211) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

...Naucz, by jednym krokiem
się przerzucał z historii jatek
krwawych do warsztatów...

CYPRIAN NORWID

ZBIGNIEW MITZNER

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ POKOJU

REMARQUEOWSCY żołnierze, gnijący w okopach wojny pozycyjnej, zastanawiali się, czym jest ta wojna i jakie były jej przyczyny. Jeden z nich wysunął przypuszczenie, iż wojna wybucha wówczas, gdy jeden naród obrazi drugi. Jego współtowarzysz wyciągnął z tego założenia szybko logiczny wniosek: „Ja idę do domu, bo wcale nie czuję się obrażony!".

Takie dyskusje możliwe były wówczas, przed trzydziestu paru laty, chociaż i wtedy żołnierze rosyjscy i nawet niemieccy marynarze w porcie hamburskim rozumieli, że jeśli nie tak łatwo iść do domu, to przyczyny, które pchnęły ich do walki, były o wiele głębsze, choć ukryte, choć nie zrozumiałe zostały dla autora najgłośniejszej książki o pierwszej wojnie światowej. W miarę rozkładu i upadku kapitalizmu coraz trudniej mu zamaskować istotę masowych zbrodni, gwałtów i nieszczęść, w które tak często wpycha ludzkość. Toteż dzisiejsza walka w obronie pokoju pozbawiona jest momentów naiwności i coraz mniej ludzi w świecie chciałoby z tego frontu wycofać się do domu, wiadomo bowiem, że wojna, gdyby wybuchła, szybko by ich tam odnalazła. Nie w tym rzecz, że Stany Zjednoczone „obraziły się" na Związek Radziecki, ani nie w tym nawet, że amerykańskim bankierom nie podoba się radziecki socjalizm, demokracje ludowe i walka wyzwoleńcza ludów Azji.

Cechą zasadniczą wielkiego ruchu pokoju, który w ostatnim roku ogarnął wszystkie niemal kraje i ludy, jest zrozumienie istoty i treści wojen, istoty i treści, związanej z zasadniczymi cechami kapitalizmu. Mieszczański pacyfizm brzydził się wojną, tak, jak przechodzień brzydzi się widokiem ofiary samochodowego wypadku i przechodzi na drugą stronę ulicy. Wypowiadał się przeciwko wszelkiej wojnie, przeciwko wojnie w ogóle, dzięki czemu w rezultacie niejednokrotnie szedł na rękę tym, którzy wojnę robili, pomagając im swą biernością w szybszym i skuteczniejszym osiąganiu zamierzonych celów.

Najszersze masy ludowe zajęły dziś jednolicie postawę o wiele groźniejszą dla twórców wojen. Obrońcy pokoju dzisiaj rozumieją ścisły związek istniejący między wojnami a ustrojem gospodarczym i interesami kapitalistycznej oligarchii. W ten sposób wojna została tak samo odarta ze wszelkich idealistycznych zasłonek i listków figowych i jest tak samo rozumiana, jako element w walce klasowej, w wewnętrznej walce grup kapitalistycznych, jak szarża policji na demonstrujący tłum, albo jak giełdowe posunięcie, obniżające wartość szeregu walut europejskich w imię zysków kapitalistów jednego kraju.

W przededniu pierwszej wojny światowej Jaurés wołał, iż „kapitalizm niesie w swym łonie wojnę, jak chmura niesie burzę". Okrzyk ten w lapidarnym skrócie doskonale charakteryzował ówczesną sytuację i nieodłączność od kapitalizmu stałych starć zbrojnych między poszczególnymi grupami kapitalistów. Perspektywa zwycięstwa, całkowitego i ostatecznego naszego współczesnego ruchu pokoju opiera się o zmiany, jakie zaszły w świecie na przestrzeni lat, dzielących nas od sformułowania jauresowskiej przestrogi.

Stało się tak, iż od lat przeszło trzydziestu kapitalizm nie rządzi swobodnie naszym globem, nie narzuca mu, nie może narzucać swojej woli, swoich konfliktów i według swego widzi mi się przekształcać w każdej chwili swych walk giełdowych w walki milionowych armii. Powstanie państwa socjalistycznego, obejmującego szóstą część świata, położonego na olbrzymich obszarach Europy i Azji, wprowadziło nowy element w stosunkach międzynarodowych. Przebieg i wynik drugiej wojny światowej jak najbardziej jaskrawo przedstawił, wszystkim umiejącym rozumieć, tę nową sytuację.

Druga wojna światowa nie przyniosła bynajmniej pomniejszenia roli tej nowej siły współczesnej historii. Przeciwnie—decydujące znaczenie Związku Radzieckiego w rozgromieniu faszyzmu i powstanie w jego wyniku państw ludowej demokracji wzmocniło jeszcze bardziej ten nowy element w polityce międzynarodowej, zwęziło zakres i możliwości działania kapitalizmu. Jego możliwości decydowania o losach świata, o losach narodów, o losach wojny i pokoju wybitnie się skurczyły. Gdy zamyśla on o wojnie, gdy próbuje ją nawet organizować, ma przeciwko sobie nie tylko wolę ludów, ale i siłę państw, z istoty swojej będących przeciwnikami wojny i strażnikami pokoju.

Na tym właśnie tle rozgrywa się dzisiejsza, coraz bardziej rosnąca na sile walka o pokój. Wszystkie wysiłki imperializmu zmierzają do zrównoważenia skutków jego klęski, poniesionej na skutek obalenia kapitalizmu najpierw w Związku Radzieckim, a następnie w szeregu państw europejskich, a ostatnio i w Chinach. Imperializm pragnie odzyskać siły i swobodę działania poprzez likwidację własnych, wewnętrznych sprzeczności. Tych sprzeczności, które były właśnie od wieku przyczyną wojen. To jest geneza planu Marshalla, Unii Europejskiej i Paktu Atlantyckiego.

Działanie to jest skazane na niepowodzenie, gdyż zmierza ono nie do czego innego, jak do pozbawienia kapitalizmu tej cechy, która jest bodaj w nim najistotniejsza. Wydarzenia ostatnich dosłownie dni dowodzą, iż nie istnieje możliwość zreformowania imperializmu poprzez pogodzenie żyjących w nim sprzeczności. Istnieje natomiast inna możliwość i inna perspektywa: podboju pokojowego słabszych i mniejszych państw kapitalistycznych przez jedno, najsilniejsze — przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Ale i taki podbój nie może się odbyć łatwo i bez oporu, ale i taki podbój natrafić musi na nieprzezwyciężone przeszkody. Kapitalizm krajów słabszych może oczywiście popełnić samobójstwo w imię historycznych interesów ustroju kapitalistycznego w ogóle. Kraje te jednak są tylko rządzone przez kapitalistów, zamieszkuje je jednak miliony ludzi, nie mających żadnego interesu w poświęcaniu się dla idei, oddania całkowitej dyktatury w ręce garstki amerykańskich bankierów. Dlatego też ich iluzoryczne zwycięstwa gospodarcze i polityczne nad własnymi sojusznikami przyczyniają się do potęgowania się walki klasowej i do demaskowania wszystkich grup i partii politycznych, głoszących po wojnie program czegoś pośredniego między kapitalizmem i socjalizmem. W ogniu tej walki zniszczona zostaje ostatecznie socjal-demokracja zachodnio-europejska, która odegrała jeszcze ponurą i haniebną rolę w sparaliżowaniu rewolucyjnych dążeń klasy robotniczej. To, co mogła uczynić w tym okresie dla kapitalizmu, to uczyniła. Labourzyści skarżą się dziś na socjalistyczne osamotnienie ich rządów w świecie. Osamotnienie to nie będzie zapewne trwało długo, gdyż podzielą oni los, który sobie zgotował Blum, Spaak, Schumacher i Saragat.

Jeśli manewry amerykańskiego imperializmu zmierzają do wywołania trzeciej wojny światowej, to jednocześnie — taka jest ironia losu — pobudzają one siły pokoju. Są to bowiem te same siły ludowe, które przeciwstawiają się zdradzie własnych rządów i zaprzedaniu swych krajów w niewolę amerykańskiego imperializmu. Robotnik angielski, stający do walki o zwyżkę płac dla uratowania jednej trzeciej swego bochenka chleba, którą Bevin i Cripps oddali w Waszyngtonie Amerykanom, mobilizuje się jednocześnie w obronie pokoju. Rozwój sytuacji bowiem ujawnia jak najbardziej jaskrawie ścisły związek sprawy tego chleba z istotnym zagrożeniem niepodległości jego kraju. Temu robotnikowi coraz trudniej będzie tłumaczyć, że to komuniści i Związek Radziecki są jego istotnymi wrogami, a Marshall, Acheson, Truman i ich bankierzy — jego przyjaciółmi.

Dzieje się więc tak, iż imperialiści na obszarze swego panowania, zarówno w metropoliach, jak i w koloniach, są nie coraz silniejsi, ale coraz słabsi. To skłania grupy monopolistyczne, nazwane słusznie podżegaczami wojennymi do wzmożenia swoich ataków na kraj urzeczywistnionego socjalizmu. Znają oni niewątpliwie zasady sformułowane przez niemieckiego teoretyka wojny Clausewitza, który pisał, iż „wojmusi być politycznie wygrana zanim zostanie wojskowo rozpoczęta". Znają oni i rozumieją swą nicość ideologiczną, rozumieją, iż trudno pchnąć ludy do walki pod hasłami uratowania kapitalistycznych zysków, czy też utrzymania wyzysku ludów kolonialnych. Socjalizm jest wyraźną i jedyną perspektywą ludzkości, to też w przejęciu, w przechwyceniu jego haseł, w sfałszowaniu ich widzą jedyną dla siebie perspektywę.

W tym tkwi źródło zdrady Tito i jego przejścia na służbę imperializmu. W czasie obu wojen światowych Churchill starał się przeforsować swoją myśl strategiczną — uderzenia zachodnich aliantów na Bałkany, które nazywał „miękkim brzuchem Europy". To marzenie Churchilla usiłuje realizować dzisiaj imperializm, powtarzając próbę nieudanego desantu wojskowego w Galipoli w formie pokojowego desantu w Belgradzie. Cały rozwój wydarzeń, poczynając od rezolucji Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych, a kończąc na procesie Rajka, dowodzi, iż stratedzy imperialistyczni, wierni uczniowie Churchilla, uznali Jugosławię za „miękki brzuch socjalizmu" i tam właśnie uderzyli. Powodzenie ich było częściowe, albowiem desant został skutecznie i szybko, istotnie po bolszewicku zlokalizowany.

Nie znaczy to, by wszystkie skutki tego uderzenia, uderzenia wymierzonego nie tylko w socjalizm, ale i w pokój, były usunięte. Marząc o laurach Hitlera, panowie ze sztabów i wywiadów Paktu Atlantyckiego, pragną dokładnie wzorować się na niedoszłym zwycięzcy Związku Radzieckiego. Hitler sformułował zasady moralnych i politycznych przygotowań wojennych, mówiąc o swoich szpiegach, iż już przed wybuchem wojny „będą oddawna w stosunkach z ludźmi, którzy utworzą nowy rząd, rząd po mojej myśli. Takich ludzi znajdziemy wszędzie, nie będziemy nawet potrzebowali ich kupić. Sami przyjdą do nas, pchani ambicją, zaślepieniem, zacietrzewieniem partyjnym i pychą... Wszędzie wewnątrz kraju nieprzyjacielskiego będziemy mieli przyjaciół, którzy nam będą pomagać, będziemy musieli postarać się o nich. Zamęt uczuć, konflikty moralne, niezdecydowanie, panika — oto broń, którą będziemy mieli".

Nie tylko ze względu na wewnętrzny system rządów nazywa się słusznie reżym Tito faszyzmem. Jest on bowiem, podobnie, jak faszyzm, nową próbą poddania mas ludowych kapitalizmowi przy pomocy użycia haseł i programów pozornie socjalistycznych. Imperialiści sądzą, że uda im się na bazie kliki titowskiej utworzyć ruch podobny, jaki utworzyli na bazie bandyckiej grupy Hitlera. Że w ten sposób pozyskają zarówno narzędzie dla osłabienia demokracji ludowych i Związku Radzieckiego, jak i odskocznię do nowej wojny.

O tych posunięciach wiele dziś wiedzieć trzeba, badać je i analizować, gdyż wiążą się one ściśle właśnie ze sprawą pokoju. W świetle tych wydarzeń zarysowuje się jeszcze bardziej wyraźnie niż dotychczas historyczna rola Związku Radzieckiego. Sprawa Tito, sprawa Rajka i innych dowodzi, na jakie niebezpieczeństwa narażone byłyby ludy, realizujące socjalizm, gdyby nie posiadały potężnego poparcia w doświadczeniach, osiągnięciach i sile państwa radzieckiego. Wynika z tego, iż realizacja socjalizmu, w jakimkolwiek kraju w oderwaniu od Związku Radzieckiego jest niemożliwa. Żaden kraj bowiem nie potrafiłby się oprzeć sam olbrzymiemu naciskowi, jaki zdolny jest jeszcze wywrzeć imperializm. Nie znaczy to, by istnienie i pomoc Związku Radzieckiego zwalniały nas od walki o realizację socjalizmu w naszym kraju, tak samo, jak nie zwalnia nas od wytężonej walki o pokój.

„Titowscy faszyści — mówił ostatnio Jakub Berman — stosują zatrutą broń prowokacji, bo w otwartej walce nie mogą liczyć na zwycięstwo wobec rosnącego doświadczenia mas i ich rosnącej świadomości. Dwulicowość jest najbardziej zatrutą bronią wroga klasowego. Wróg się maskuje, aby dotrzeć do ważnych ogniw partyjnych i państwowych. Żeruje też na przesądach, na nacjonaliźmie, na każdej szczelinie w partii, żeruje na malkontenctwie, na ludziach chwiejnych i niedoświadczonych, dociera tam, gdzie natrafia na mniejszy opór, gdzie czuje dla siebie żer".

Tak przedstawia się obraz naszej walki o socjalizm i o pokój. Trwając w niej nie wolno popełniać błędów lekceważenia przeciwnika. Jest to bowiem jednocześnie lekceważenie naszych własnych osiągnięć i dokonań, które na każdym etapie, w każdym czynie zadają bolesny cios kapitalizmowi i pobudzać go muszą do przeciwdziałania. Wielki ruch pokoju ma swoje olbrzymie osiągnięcia. Wiemy o tym, że ten ruch, jak i postawa i polityka Związku Radzieckiego, zmusił nieraz już wojennych podżegaczy do cofnięcia się, do zaniechania ułożonych już planów, do odwrotu.

Jest tak, że imperialiści, obezwładnieni wolą setek milionów ludzi, nie mogą pchnąć świata w odmęt nowej wojny, nie mogą dopóty, dopóki ruch ten wzmaga się, rośnie i potężnieje. Ale oprócz działania otwartego mają imperialiści szerokie możliwości działalności podstępnej, wykorzystywania wszelkich sposobów dla opóźniania naszego socjalistycznego dzieła.

To dzieło budowy socjalizmu w Polsce musi być chronione ze stale napiętą uwagą, ono bowiem jest także elementem utrwalania pokoju, chronienia pokoju. Dlatego też walka przebiega na wszystkich odcinkach naszego życia: w fabryce, na wsi, w warsztacie uczonego i w pracowni artysty. Tam gdzie powstaje maszyna, gdzie zbiera się plon z pola, gdzie rodzi się dzieło sztuki i odkrycie naukowe — może czaić się i skradać myśl i czyn wroga, które odkryć musimy i wytępić. Sprawą najważniejszą jest zrozumienie, w jaki sposób drobna część stanowi fragment całości, zrozumienie, iż nie wolno lekceważyć i bagatelizować niczego, że wszystko jest ważne, że wszystko ma znaczenie. Ważna jednym słowem, jest powszechna, coraz powszechniejsza świadomość, do czego dążymy, co chcemy zrealizować, co utrwalić, zrozumienie rozległości i historyczności naszej pracy i naszych wysiłków.

Pokój potrzebny jest ludom, potrzebny jest milionom ludzi, tak jak wojna potrzebna jest nielicznej garstce panującej nad obszarami i ludźmi kapitalistycznego świata. Pokój potrzebny jest Polsce. Pokój potrzebny jest do budowy socjalizmu, jak cement, potrzebny jest, by z cegły wznieść dom. Nie wojna jest nieunikniona, ale koniecznością dziejową jest socjalizm. Jeśli nie może jej nic odwrócić, może ją niewątpliwie opóźnić, a my przecież opóźnienia nie chcemy. Chcemy, by każda chwila zbliżała nas konsekwentnie do zamierzonego celu.

Zbigniew Mitzner

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Edel sei der Mensch,
Hilfreich und gut!

Goethe

ODPOWIEDŹ

Czego żąda ode mnie
poezja
Czy wyrzeczenia
Odosobnienia i melancholii
Abym szedł przez tłum
jak przez powietrze

Jeżeli poezja żąda
melancholii i odosobnienia
wyrzeczenia
i rozpaczy
Odrzuć ją

Czy miłość do żony
miłość do dziecka
któremu kupuję
małe ubranko
troska o matkę
Czy te ludzkie uczucia
zabijają poezję

Stwórz nową
która buduje
Z uczuć powszechnych
słów prostych
która czerpie ze zmysłów
z świata realnego
z świadomości

Niech odejmie od człowieka
wszystko zwierzęce i boskie

Czy muszę uciec
z domu w nocy
kiedy jest burza
i umierać
na małej stacji kolejowej gdzie
kolejarz dudniącym głosem
woła miasta nieznane

Patrzę na dymy które unoszą się
pionowo nad płaskimi dachami
mojego miasta

Widzę pręgowane ogniem
boki hałd
widzę czarne dni robocze
które zbiegają się w czyste
kryształy planów

w oświetlonych domach: Ludzie
których kocham
którym rozdałem oczy usta i ręce
i odbieram

Bo każdy z nas chce dotknąć
pomocnej ręki drugiego człowieka
i płacze w nocy.

Gliwice 1949 r.

SKĄD SMUTEK

Na ulicy jest już ciemno
słyszę głosy dziewczyn
nie dotknę ich włosów
ani rąk Palce ich są nieznane

To są robotnice Dziewczęta
z domów towarowych Uczennice kursów
pracownice domowe i inne

Nie zgodzę się aby przeszły obok
wzruszając ramionami
przecież są życiem samym
nie mogą mnie tak zostawić

Muszę spojrzeć w ich oczy
usłyszeć co mówią spytać
o czym się śmieją tak pięknie
wesoło
kiedy przechodzą obok
trzymając w rękach chusteczki
wzruszają ramionami
kołysząc biodrami
wstrząsając lokami

Muszę się od nich dowiedzieć
czy lubią gruszki czy jabłka
Muszę się od nich dowiedzieć
co wiedzą czego nie wiedzą

Dziewczyny odchodzą dalej
śmieją się jasno
i cienko
A my nie wiemy z czego

Nieporuszeni stoimy
Jeśli nam rąk nie podadzą
utoniemy.

MIECZYSŁAW WIONCZEK

Między Paryżem a Zatoką Gwinejską

Pierwszą osobą, z którą zetknąłem się na Haiti — jeszcze przed strażą celną i graniczną — był myszkujący po lotnisku Port-au-Prince Monsieur George Wulff. Z wizytówki, jaką wetknął mi do kieszeni i z informacji, udzielonych łamaną angielszczyzną wynikało, że pracował w jednym z dwu miejscowych, obliczonych na amerykańską klientelę — biur podróży. Zaraz też na wstępie Mr. Wulff poinformował mnie o tym, co widocznie było najważniejsze dla niego, to jest, że dziadek jego przywędrował na Haiti z Niemiec. Nic poza nazwiskiem nie zdradzało w mym haitinaskim znajomym przymieszki białej krwi. Był przeciętnym przedstawicielem miejscowej społeczności murzyńskiej i jednym z niewielu nie-mulatów na lotnisku.

Spotykałem go potem często i nieoczekiwanie w różnych zakamarkach liczącej sto tysięcy mieszkańców stolicy Republiki podczas moich samotnych po niej wędrówek. Spacerował ze mną godzinami i napraszał się z różnymi grzecznościami, które ze względu na tropikalną temperaturę były raczej czynnościami forsownymi. Nigdy nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia za swoje usługi i porady, kontentując się piwem w przygodnych barach. Dopiero pod koniec pobytu na Haiti zrozumiałem — wydaje się — motywy jego postępowania. Monsieur Wulff, obywatel murzyńskiej republiki kompensował sobie w oczach swych znajomych wszystkie kłopoty „przyjaźnią" z białym Europejczykiem. Przekonałem się bowiem, że w najstarszej murzyńskiej republice świata kolor liczył się bardziej, niż oczekiwać należało.

Hotel Petit Trianon, do którego skierował mnie mój znajomy z lotniska, nie różnił się wiele od innych, przeznaczonych dla turystów hoteli w tej części świata. Położony był na skraju miasta u podnóża wydatnych wzgórz i ofiarował klientom niezwykle piękny widok na Port-au-Prince i zatokę z grupą szarozielonych wysp na dalekim horyzoncie morza. Z okien hotelu wyraźnie widać było kompleks budynków rządowych wokół dużego placu w kształcie gwiazdy w centrum miasta. Reszta Port-au-Prince, znacznie mniej efektowna, była bezkształtną plamą płaskich dachów, które zlewały się na krańcach z morzem bądź z przygaszoną zielenią tropikalnych zarośli. Wyrastające z tyłu za hotelem pasmo wzgórz pocentkowane było gęstą wysypką budowli, które — słusznie zresztą sprawiały wrażenie rezydencji elity Port-au-Prince. W ostatnim rzędzie na horyzoncie wyrastały góry, obłe i puste, nadające krajobrazowi piętno surowości. Tam na horyzoncie zaczynało się właściwe Haiti.

Motywy mojej podróży na Haiti były napoły intelektualne, napoły sentymentalne. Czytałem gdzieś o Haiti jako o kraju konfliktu między mulatami i murzynami, a potym wywarło na mnie duże wrażenie pisarstwo wybitnego Haitianczyka, Jacques'a Roumain, którego sława wyszła poza Republikę. Wreszcie ze szkolnych czasów i lektury „Popiołów" pamiętałem ofiary napoleońskich snów o potędze, ekspedycje legionistów polskich na San Domingo. W toku wizyty na Haiti ten sentymentalny motyw usunął się jako nieważny epizod historii na

Krajobraz haitiański

plan dalszy. Zato wyczytana gdzieś wiadomość o Haiti, jako kraju klasowego konfliktu między mulatami i murzynami okazała się istotną. Rzeczywiście trzymilionowe haitiańskie społeczeństwo murzyńskie, które swe związki z Francuską Rewolucją święci jej emblematami na sztandarze narodowym, jest jak się okazało, rozbite na dwie części. Wegetują one od półtora wieku między dwoma biegunami: „duchową ojczyzną" mulackiej elity ze wzgórz nad Port-au-Prince, — Paryżem oraz Zatoką Gwinejską, do której, według wierzeń haitiańskiego chłopa powracają na łono swych przodków duchy zmarłych obywateli Republiki — murzynów z interioru.

Zewnętrzna „europejskość" Haiti znaczona paryskimi toaletami kobiet na lotnisku Port-au-Prince i obejmująca hotel Petit Trianon, kończy się zaraz za bramą lotniska i za murem hotelowego palmowego ogrodu. Jej okruch w postaci wystawy księgarskiej w odległości kilkunastu kroków od hotelu podkreślał jeszcze jej złudność i nierealność. Wystawa, pełna francuskich romansów z Colette i Carco na czele, zawierała także jakieś monografie o Napoleonie, tom Bergsona i dzieło nieznanego mi autora o niezwykłym, jak na otaczający świat, tytule: „Contre la civilisation machiniste". Stojące przed hotelem nadgryzione przez czas i klimat taksówki były obok pomarańczowych autobusów sprzed ćwierćwiecza jedynymi przedstawicielami owej maszynowej cywilizacji w Port-au-Prince.

Pierwsza parugodzinna wędrówka po stolicy Haiti — jeśli pominąć zwiedzanie budowli rządowych — okazała się odrazu wyprawą w tropikalną, prawie kolonialną nędzę. Nie byłem nigdy w Afryce na południe od Biskry, ale Port-au-Prince wyglądało bliźniaczo podobnie do fotografii miast afrykańskich między Casablanką i przylądkiem Dobrej Nadziei. Bogactwo tropikalnej przyrody podkreślało jeszcze bardziej ubóstwo ludzkiej egzystencji. Korzystając z dobrodziejstw klimatu nędza haitiańska przechadzała się bez żenady po ulicach stołecznego miasta. Śródmieście Port-au-Prince było zbiorowiskiem ubogich drewnianych budowli, których porównanie z przedmieściami Radomia wyrządziłoby krzywdę polskiemu miastu. I jakkolwiek stolica Haiti pulsowała jak wszystkie miasta Południa życiem, gorączkowość mrowia ludzkiego miała wszystkie cechy bezcelowego miotania się po wąskich ulicach dla zabijania czasu, którego cena, sądząc po postępie Haiti w ciągu stu pięćdziesięciu lat jego teoretycznej niepodległości, jest tu raczej niewielka.

Biuro Turystyczne Republiki Haiti, mieszczące się na nadbrzeżu w porcie nieopodal targu rybnego, było instytucją raczej ubogą, gdyż Haiti niewiele ma turystom do zaofiarowania poza egzotyką natury. Jest ona w zasięgu morza i wody wspaniała i przypomina sąsiednie — Kubę i Republikę Dominikańską. Te ostatnie mają jednak nad Haiti przewagę, gdyż specjalizując się w przemyśle turystycznym, potrafiły zorganizować go tak, że turyści nie muszą stykać się z miejscową nędzą. Haiti ma w swym katalogu turystycznych osobliwości kilka tylko pozycji: szczątki olbrzymiej fortecy, wzniesionej za napoleońskich czasów przez Henri-Christophe'a, oswobodziciela i tyrana Haiti równocześnie, kilka muzeów w Port-au-Prince, trzy stołeczne nocne lokale, będące nieudaną mieszaniną nowojorskiego Broadwayu i Afryki, wreszcie sobotnie tańce na przedmieściach Port-au-Prince, przyniesione z nad Zatoki Gwinejskiej — Voodoo. Reszta — Haiti chłopskie daje niewiele rozrywek i wzruszeń białym poszukiwaczom. Śmierdzi tragiczną nędzą, jest trudno dostępne. Mogłoby u ludzi wrażliwych obudzić uczucie wstydu i zakłopotania, gdyż odległe jest od luksusu Florydy zaledwie o cztery godziny lotu. Jest to jeszcze jeden powód omijania Haiti i szerzenia o nim złej opinii w świecie. Haiti jest krajem, do którego się nie powraca — oto zgodna opinia niewielu białych, przebywających w murzyńskiej republice z przypadku czy z musu.

Pierwszą lekcją Haiti było dokładne przestudiowanie w piwiarni pod Biurem Turystycznym prasy Port-au-Prince. Była to lekcja naskórka Haiti tylko, skoro jest to kraj conajmniej 90 proc. analfabetów. Kilka ubogich technicznie, czterostronicowych dzienników okazało się też pasjonującym i żałosnym równocześnie dokumentem, który gdyby na nim poprzestać, wprowadzić mógłby w błąd. Wielki nagłówek w porannym „Le Matin" donosił, że „Queille wygłosił wieczorem exposé w Izbie". Premier Haiti nie nazywa się Queille i chodziło tu o premiera Francji. Wydawcy dziennika zakładać musieli, że skład gabinetu francuskiego znany jest dobrze czytelnikom „Le Matin", skoro nie identyfikowali bliżej Mr. Queille. Jeszcze bardziej niezwykły był drugi dziennik — „Le Nouvelliste". Połowę pierwszej strony poświęcał on streszczeniu... „Adolfa", „arcydzieła powieści psychologicznej Monsieur Constant, przyjaciela M-me de Stael", jak zapowiadał wstęp owego streszczenia. W połączeniu z tomem Bergsona w oknie księgarskim mogło to doprawdy sprawić na czytelniku wrażenie, że przebywa nad Sekwaną.

Wrażenie to rozbijała bezlitośnie rzeczywistość brudnej piwiarni, przez której drzwi widać było snujący się bosy i źle odziany tłum mieszkańców Port-au-Prince.

Nieodłącznym rekwizytem haitiańskich dzienników okazał się też „List z Paryża". Zastępował on wyraźnie korespondencję z Cap Haitien, Jacmel i z innych miast republiki, gdyż korespondencji takich nie było. List paryski „Le Matin" zaczynał się wykazem bieżącego repertuaru teatrów paryskich i kończył opisem mód. Dowiedziałem się z niego, że w teatrze Heberthot (w Paryżu) grają właśnie „Zwiastowanie Marii" Claudela. W Port-au-Prince nie grano jednak Claudela z braku budynku teatralnego. W stolicy Haiti szły zato w kinach: „Miłość nieprawdopodobna czyli Old Acquaintance" z Betty Davis i Miriam Hopkins, „grand film d'adventures de la Paramount" — Pacific Express i film bez tytułu z życia cowboy'ów. W mieście produkował się także Circo Americano. Ogłoszenia w „Le Matin" zalecały: nowe lekarstwa z Francji, nadeszłe do apteki Mr. Sothene Gefrard, podróże samolotami holenderskich linii KLM („Allez a Ciudad Trujillo, Curacao et Aruba), benzynę „La Esso Standard Oil", pióra wieczne Parkera, wina kalifornijskie i płatki owsiane z Kwakrem. Ogłoszenia „Le Nouvelliste" były podobne: miejsce „La Esso Standard Oil" zajmował „Shell Oil"; reklamowały się także — woda sodowa „Canada Dry", kremy do usuwania zmarszczek Ponda mleko w proszku KLIM. Któż powie, że Republika Haiti nie jest częścią nowoczesnego świata? Zwłaszcza, jeśli o pięciu tysiącach czytelników obu dzienników mowa.

Drugą lekcją Haiti było Muzeum Etnograficzne Port-au-Prince. Złożyło się ono i na dalsze lekcje, gdyż wizytami w muzeum kompensowałem sobie nieznajomość haitiańskiej gwary ludowej, la langue creole, połączenia starej francuszczyzny z narzeczami Gwinei i Dahomeju. Muzeum Etnograficzne odległe o pięć minut drogi od Biura Turystycznego, wegetuje w suterenach ratusza dzięki niewielkiej dotacji państwowej i wpływom z rozsprzedaży broszurek o obyczajach i wierzeniach haitiańskiego chłopa. Muzeum nie jest instytucją wśród turystów specjalnie popularną. Dla mieszkańców willi ponad Port-au-Prince i dla czytelników „Listów z Paryża" jest nawet instytucją kłopotliwą. Przypomina o tym o czym zapatrzona w Paryż mulacka elita pragnęłaby zapomnieć, przypomina o Afryce.

W jednej z trzech sal muzeum centralne miejsce zajmuje duża, prymitywnie naszkicowana mapa Zatoki Gwinejskiej. Z niej właśnie w ciągu Wieku Oświecenia fregaty i brygandyny przedsiębiorczych międzynarodowych handlarzy nawiozły na San Domingo ku chwale królów Francji i własnym zyskom ćwierć miliona czarnej ludzkiej zwierzyny. Wobec braku zrozumienia wśród chwytanych dla chwały Francji i ich czynnego i biernego oporu przeciw „akcji przesiedleńczej", teren polowań rozszerzano z pokolenia w pokolenie, obejmując wreszcie obszar równy połowie Europy. Stąd dzisiejszy chłop haitiański jest końcowym produktem mieszaniny trzydziestu różnych plemion, których jedyną wspólnotą poza kolorem skóry były antropomorficzne kulty religijne. W będącym odbiciem życia dziewięćdziesięciu kilku procent mieszkańców Republiki Muzeum, niewiele widać dowodów wpływów świata zewnętrznego. Panująca nad umysłami elity Francja przeszłości nie przeniknęła prawie do haitiańskiego chłopa, tak jak do haitiańskich bezrolnych, wędrujących „na saksy" na Kubę i do Republiki Dominikańskiej nie przeniknęła hiszpańskość tych krajów. Z języka panów-mulatów chłop wziął najwięcej. Z religii — mniej znacznie mimo, że według statystyk Watykanu trzy miliony Haitiańczyków stanowi opokę, na której wznosi się arcybiskupstwo Port-au-Prince. Eksponaty, poświęcone wierzeniom haitiańskich chłopów, wskazują, że — pod naciskiem i dla świętego spokoju — zaadoptowali oni dla swych gwinejskich bogów chrześcijańskie imiona świętych, oddając Cesarzowi co cesarskie, swoim bogom, co im się należało. Papa Leghba, główne bóstwo plemion gwinejskich zostało dodatkowo Bogiem — Ojcem, ponure litografie świętych pańskich „made in Germany" zawieszono w miejscach służby bogom Voodoo, do pierwotnego rytuału włączono szereg obrzędów katolickich. Arcybiskupi Port-au-Prince ograniczyli swoje zainteresowania do dusz jaśniejszych wiernych z Petionville, zamożnego przedmieścia Port-au-Prince na wzgórzach, chłopom z interioru pozostawiając troskę o własne zbawienie. Musiało tak być, gdyż haitiańscy chłopi nie tolerowali obcych misjonarzy, a katolicyzm elity nie był aż tak głęboki, aby jej przedstawiciele mieli schodzić w czarny lud.

Mroczno jest w salach Muzeum Etnograficznego mimo tropikalnego upału na zewnątrz i czas w muzeum zatrzymał się, jak na całym Haiti. Wyposażenie muzeum jest równie ubogie, jak świat, którego eksponaty prezentuje. Może także dlatego, że jest ono młodsze od Republiki o sto czterdzieści lat. Powstało zaledwie przed sześciu laty. Po dziedzińcu przed muzeum wałęsają się bezpańskie psy. Pod ścianami ratusza bosa młodzież stolicy Haiti gra leniwie w karty na miedziaki. Jej wątpliwy awans społeczny polega na przejściu z przeludnionych wiosek na przeludnione chodniki miasta. Z wiejskiego lumpen — proletariatu stała się lumpen — proletariatem miejskim. Na tym skończyło się, także i dlatego, że Haiti nie zna jeszcze cywilizacji przemysłowej, mimo książek z wystawy koło Petit Trianon, pomstujących na „la civilisation machiniste".

Jasną elitę Haiti poznałem tylko z drugiej ręki. Moje spotkania z jej przedstawicielami ograniczyły się do dwukrotnego otarcia się o tłum pasażerów i gości na lotnisku Port-au-Prince i do przejażdżki samochodem przez siedzibę elity, Petionville, w drodze w głąb wyspy. Trudno także za kontakt z elitą uznać wymianę zdawkowych uprzejmości z zarządzającą Petit Trianon. Jej przynależność do elity wynikała coprawda z koloru skóry, ale jej paranie się pracą zawodową poddawało ten fakt w wątpliwość — w oczach elity w każdym razie. Brak statystyk nie pozwolił mi także określić ekonomicznego zasięgu owej elity. Przejażdżka przez Petionville, lektura dzienników i relacje mieszkańców Port-au-Prince ciemnego koloru skóry musiały tedy wystarczyć. Sądząc z kontrastu między Petionville i resztą Republiki, mieszkaniec Petionville wart jest w przeliczeniu na gourdy (jednostka monetarna Haiti) tysiące zwykłych Haitiańczyków. Budowle Petionville można by bez ujmy dla ich właścicieli przenieść do każdego zachodnioeuropejskiego willowego przedmieścia. To, co spełnia funkcję domów haitiańskich chłopów nie dałoby się przenieść nigdzie, gdyż trudno przenosić cztery nagie ściany, pokryte nieszczelnym trzcinowym dachem. Mieszkańcy Petionville uchodziliby za dobrze ubranych na paryskich bulwarach. Haitiańskiego plebsu nie można by prowadzić nawet do najbiedniejszych dzielnic Rzymu czy Madrytu. Naraziliby się natychmiast na areszt za świecenie nagością spod odzieży, którą trudno zakwalifikować inaczej niż łachmany.

Mieszkańcy Petionville, dworów w głębi kraju i willowych przedmieści kilku pozostałych miast Republiki, są w prostej linii potomkami osiemnastowiecznych mulackich wyzwoleńców, owoców burzliwego życia seksualnego przednapoleońskiej białej administracji. Prawdą jest, że część owych wyzwoleńców wzięła udział w walkach o niepodległość przeciw Francuzom. Ale prawdą jest także, że dzień wypędzenia ostatniego białego z wyspy w roku 1804 był dniem wybuchu konfliktu między nimi i masami, wygranego ostatecznie przez „jasną" elitę. Na wyspie pozostawionej własnemu losowi do pierwszej wojny światowej — nędza kraju była tak wielka, że nie interesował nikogo — kontrasty między mulacką elitą i czarnymi masami, nie tylko utrzymały się w ciągu półtora wieku, ale zaostrzyły jeszcze bardziej. Odcięta od dopływu krwi białej, niedopuszczająca za żadną cenę krwi czarnej, elita wykazała optimum zdolności zarówno w używaniu życia jak i w utrzymaniu w ciemnocie i zależności chłopa, który dożył naszych czasów w stanie osiemnastowiecznej pierwotności i nędzy.

Nic to, że polityczna historia Republiki wymienia 14 głów państwa „ciemnych" obok 17 prezydentów „jasnych", nic to, że przywódcy buntu przeciw Francuzom — Toussaint de L'Ouverture, Dessalines i ich generałowie byli czarnymi. Jasna elita posiadała wiedzę książkową i ekonomiczne narzędzia władzy. Kolejne bunty czarnych kończyły się bądź zwykłą klęską, bądź paktami ich przywódców z mieszkańcami Petionville. Kiedy uczciwość przywódców

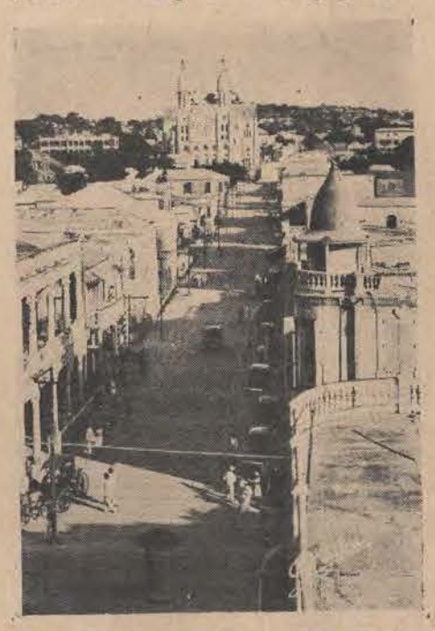

Port-au-Prince, stolica republiki Haiti.

ludu lub ich żądza władzy nie sprzyjały takim paktom, Haiti przeżywało lata anarchii, pozbawione kadr administracji. Elita przetrzymywała owe lata z pewnymi stratami, zachowując swe ekonomiczne wpływy. Życie chłopów składało się naprzemian z okresów bezpośredniego ucisku Petionville i z okresów anarchii i nędzy w czasach „czarnych prezydentów".

Stąd Muzeum Historyczne Port-au-Prince jest najuboższym i najbardziej płonnym muzeum, jakie kiedykolwiek widziałem. Składa się z galerii portretów Prezydentów w operetkowych nieco mundurach oraz ze zbioru resztek świetności z czasów kolonialnych, konserwowanych troskliwie z pokolenia w pokolenie przez kolejnych władców Haiti. Jest to karykatura Francji i jej kultury, skrzywionej wielokrotnie, zanim w podróży przez czas i budowle rządowe, dotarła do gablot muzealnych. Obraz jest tym przykrzejszy, że widać w nim nieudolne, czasami śmieszne próby odcięcia się od owego obcego dziedzictwa, próby usamodzielnienia, czerpiące bez powodzenia natchnienie z haseł Francuskiej Rewolucji, których nikt nigdy nie był w stanie zużytkować na Haiti.

Cudzoziemcy, którzy zapędziwszy się na Haiti, trafili pod dachy Petionville, niechętnie potym podróżują w głąb kraju. Jeśli ciekawi są fortecy Henri-Christophe'a o rozmiarach egipskiej piramidy na północnym brzegu wyspy, uciekają się do usług dwuch biur turystycznych, których autobusy odbywają podróż do fortecy raz w tygodniu. Petionville odradza bowiem indywidualne podróże do interioru jako ryzykowne wyprawy w kraj pariasów, których sens istnienia znany jest tylko Bogu. Nic ciekawego nie ma w głębi kraju — twierdzą—a nabawić się można jedynie chorób i obrzydzenia. Tego samego zdania jest zresztą zarządzająca Petit Trianon, doradzając w zastępstwie wycieczkę do górskiego uzdrowiska elity - Kennscott bądź wieczorne wyprawy do „boites de nuit" w Port-au-Prince. W istocie nie potrzeba wędrować wcale do interioru, gdyż interior przychodzi do Port-au-Prince co dnia na targi. Poza tym obraz przedmieści stolicy i okolicznych osiedli w połączeniu ze statystykami dopowiada — resztę o „kraju pariasów".

Codzienna inwazja interioru na Port-au Prince nie pozbawiona jest malowniczości, jeśli zapomnieć na chwilę o jej tragicznych aspektach. Co ranka wszystkimi drogami i ścieżkami z gór i niziny Cul-de-Sac tysiące haitiańskich chłopek wędruje do stołecznego miasta. Środki transportu są wskaźnikiem stopnia ich zamożności. Haitiańskie „kułaczki" wędrują na osłach, a raczej chuderlawych osiołkach, gdyż nędza Haiti położyła swe piętno także i na faunie Republiki. Osły haitiańskie wyrównywać muszą jednak swą fizyczną słabość niezwykłą wolą życia, skoro ryzykuje się na nich kilkudziesięciomilowe dzienne podróże. W pochodach do Port-au-Prince osły są jednak zjawiskiem niezbyt częstym. Większość wędrowców podróżuje przy użyciu własnych nóg, odbywając dziennie ponad dwadzieścia mil po górzystym terenie. Celem takiego marszu do stolicy jest spieniężenie w niej kilku funtów kukurydzy czy kilkunastu pęczków marchwi. Najbogatszy ładunek, jaki zauważyłem podczas kilkumilowej porannej podróży pod prąd owej chłopskiej karawany, składał się — gotów jestem przysiąc — z czterech chuderlawych kur.

Rok obecny jest rokiem urodzaju — mówiono w mieście — wskazując na obfite zaopatrzenie targowisk w marchew, rzepę, liście tytoniu i kukurydzę. W latach nieurodzaju wieś haitiańska zjada swe zapasy w ciągu kilku miesięcy, żyjąc następnie liśćmi, trawą oraz upolowanym przypadkiem dzikim ptactwem. Nie wiem jaką pozycję w nieoficjalnej religii Haiti-Voodoo zajmuje bóg deszczów, ale powinien stać zaraz obok Papa-Leghba — Boga-Ojca, gdyż deszcz decyduje o losach haitiańskiego chłopa w stopniu znacznie większym od Prezydenta Republiki i jej Konstytucji. Obfitość deszczów równoznaczna z urodzajem oznacza umiarkowane niedojadanie — uczucie sytości jest bowiem obce haitiańskiemu chłopu od początku świata. Susza— to klęska głodu, od której nie ma ratunku. Miasta nie są w stanie wchłonąć nadwyżek ludności wiejskiej nawet w normalnych latach, cóż mówić o czasach klęsk elementarnych. Emigracja „na saksy" — za morze, na Kubę, jest trudna i kosztowna; przez góry do Republiki Dominikańskiej — od dziesięciu lat niemożliwa. Zbyt świeża jest jeszcze pamięć masakry dwudziestu tysięcy haitiańskich chłopów w sąsiednim państwie w roku 1937. Wojska dominikańskie wycięły bądź potopiły w strumieniach na pograniczu wszystkich nie mówiących po hiszpańsku osadników, którzy szukali u sąsiada ratunku od przeludnienia i głodu w Republice Haiti. (Incydent z roku 1937 jest jedynym wskaźnikem ceny głowy obywatela Haiti. Rząd Republiki Dominikańskiej wypłacił Haiti ćwierć miliona dolarów odszkodowania, co określałoby wartość jednego haitiańskiego chłopa na 12 i pół amerykańskich dolarów).

Obecny Prezydent Haiti, Jego Ekscelencja Dumarsais Estime, jest pierwszym od lat trzydziestu „czarnym" prezydentem Republiki. Wyniosła go na to stanowisko ostatnia, udana rewolucja przeciw Petionville, protest mas przeciw grabieży i wyzyskowi, bijącemu rekordy wcześniejszych, bogatych w tej materii doświadczeń haitiańskiej społeczności. Petionville rządziło bezpośrednio Republiką od roku 1915, roku rozpoczęcia okupacji Haiti przez marynarkę amerykańską. Okupacja, zakończona za rządów Franklina Roosevelta, była praktycznym zastosowaniem doktryny Monroego (Ameryka dla Amerykanów) i wskazań innego Roosevelta — Teodora, który na początku stulecia zalecił używanie „grubego kija" wobec sąsiadów z Południa. Ponieważ „stojąca nierządem" murzyńska republika nęciła bardzo jej europejskich wierzycieli, piechota morska USA, obsadzając Haiti pewnego pięknego dnia 1915 roku, zapobiegła ich opiece nad ważnym strategicznie krajem.

Zdania co do okupacji są podzielone. Amerykanie uważają ją za błogosławieństwo dla Republiki, ludność Haiti — z wyjątkiem Petionville — jest przeciwnej opinii. Po ewakuacji Haiti za pierwszej kadencji Franklina D. Roosevelta, Petionville utrzymało się przy władzy przez lat kilka jeszcze, znacząc je korupcją według najlepszych wzorów sprzed 1915 roku. W roku 1945 ludność Port-au-Prince poparta przez armię, która jako zajęcie elity nie godne, nigdy nie miała w swym składzie przedstawicieli Petionville, przekazała władzę w ręce „czarnych" synów ludu. W pierwszym paroksyzmie reformatorskich zapędów nowy rząd uchwalił konstytucję, powołującą się na tradycję Francuskiej Rewolucji, po czym uspokoił się. Cztery lata rządów Ekscelencji Dumarsais Estime nie zmieniły też losów haitiańskiego chłopa. Nic nie wskazuje, aby następne lata miały je zmienić. Cynicy, powołując się na historię Republiki twierdzą, że „czarna" biurokracja zastąpiła „jasną", Petionville — w każdym razie — prosperuje bez zmian.

Musiało tak być — przekonywał mnie jeden z haitiańskich intelektualistów podczas rozmowy o historii Haiti. Jesteśmy ofiarami świata, w którym stan świadomości mas jest tak niski, że nie stać ich na wyłonienie przywódców, a równocześnie pokusa zażywania zdobytej czy przekazanej władzy jest tak wielka, że prowadzi nieodmiennie do paktowania z przeszłością i z Petionville. Być może byłoby inaczej, gdyby żył Jacques Roumain...

Rozmowa toczyła się w parku miejskim, w cieniu pomników bohaterów wojny z Napoleonem, w tydzień po moim przyjeździe do Port-au-Prince. Po raz pierwszy, nazwisko Jacques'a Roumain padło niesprowokowane zzewnątrz z ust Haitiańczyka. Ilekroć wspominałem je sam przedtem w rozmowach, wywoływało zakłopotanie i wyraźną niechęć. Było wyraźnym tabu w stolicy Republiki, mimo że poza jej granicami było to jedyne znane cudzoziemcom haitiańskie nazwisko. — Roumain nie poszedłby na paktowanie z Petionville — ciągnął mój rozmówca. — Znał je zbyt dobrze, ponieważ urodził się w nim i wychował. Ale ponieważ wybrańcy bogów umierają młodo, Jacques Roumain nie żyje od czterech lat. Nie dożył ostatniej rewolucji i nie asystował przy jej szybkim pogrzebie, mimo że przyczynił się do niej więcej, niż ktokolwiek inny. Teraz usiłuje go się oficjalnie zapomnieć jak najszybciej.

Widome ślady istnienia Jacques'a Roumain na Haiti ograniczają się do egzemplarzy jego powieści „Les gouverneurs de la rosée" w księgarniach Port-au-Prince i do rzeźby jego głowy w Muzeum Etnograficznym. Nie zasłużył sobie widocznie w oczach rządu Republiki nawet na ulicę swego imienia, mimo że Port-au-Prince ma ulice wszystkich chyba prezydentów Haiti i znacznej większości świętych pańskich. Prawdopodobnie urodził się za wcześnie, albo za wcześnie umarł. Był najwybitniejszym poetą i pisarzem Haiti XX-go wieku — jeśli wyrażenie wiek dwudziesty — ma tutaj jakikolwiek sens. Był jednym z naj-

(Dokończenie na str. 7)

Wiejska ludność Haiti na ulicach Port-au-Prince.

ANTONINA OBRĘBSKA-JABŁOŃSKA

Sprawa języka „Chłopów" Reymonta

Ogłaszając w nrze 246 „Odrodzenia" artykuł „Sprawa „Chłopów" Reymonta" p. Maria Rzeuska wyraziła przewidywanie że wywoła opór pewnymi swymi twierdzeniami. Nie można zaprzeczyć, że kategoryczność, z jaką autorka proklamuje swoje tezy, pobudza zarówno do rewizji jej oświadczeń jak do podjęcia dyskusji, a także do założenia veta tam, gdzie się zaznacza konflikt między postulatami autorki a tzw. prawdą naukową.

I ja wystąpię w obronie „prawdy" pewnego aspektu „Chłopów" Reymonta, a mianowicie gwary ludowej w „Chłopach" i sądów językoznawców o tym języku.

Tezą p. Rzeuskiej jest, że Reymont w swej epopei chłopskiej oparł się całkowicie i wiernie na gwarze łowickiej „według wszelkich danych w odmianie skierniewickiej", że „w stosunku do „Chłopów" mówić się powinno nie o elementach gwary, nie o barwieniu dielektem, lecz o gwarowym, dialektycznym systemie łowickim, w podstawowych rysach jednolitym". Do wniosków tych doprowadziło autorkę, jak sama pisze, „lat kilka trwające naukowe badanie tego utworu, dokładna analiza tekstu i zestawienie go z odpowiednimi źródłami językowymi". Tak się złożyło, że o niezmiernie pracowitym i starannym zestawieniu przez autorkę tekstu „Chłopów" z dialektem Księżaków wiem bezpośrednio, bo rezultaty tego porównania referowała p. Rzeuska na jednym z posiedzeń Kom. Językowej Tow. Nauk. Warsz. w r. 1948 i wtedy już dawałam w dyskusji wyraz wątpliwościom co do sposobu ujęcia zagadnienia.

Jakaż była metoda językowej analizy „Chłopów", wybrana przez p. Rzeuską? Dokonała ona ogromu pracy, sporządzając słownik z czterotomowego dzieła Reymonta i porównała go z doskonałą monografią doc. H. Świderskiej-Konecznej „Dialekt Księstwa Łowickiego" (Prace Filolog., t. XIV, s. 257—413). Identyfikacja form gwarowych według zasady: jest w monografii dialektu łowickiego i jest w „Chłopach" Reymonta doprowadziła do podsumowania: gwara łowicka = gwara „Chłopów".

Ale w naukowej analizie strony gwarowej utworu jest to zaledwie część zadania. Językoznawcze metody badawcze wymagają nie tylko konfrontacji z tym materiałem, który potwierdza tezę postulowaną, lecz także wynotowania i rozpatrzenia tego materiału, który ją może podważać lub wręcz negować. Innymi słowy, z językoznawczego punktu widzenia potrzebna jest świadomość faktów językowych całokształtu gwar polskich i orientacja w ich systemach tak gramatycznych jak słownikowych. Dopiero porównanie języka utworu badanego z tymi „pozatezowymi" odrębnościami gwarowymi pozwoli w wypadku zrównań negatywnych stwierdzić, że w utworze mamy do czynienia z czystą i konsekwentną gwarą jednego tylko obszaru.

Nawet po uporaniu się z tym materiałem, który podważa czy przeczy identyfikacji gwary, pozostaje jeszcze dział elementów językowych, który pod względem siły dowodowej jest neutralny czy to dlatego, że jest identyczny z językiem literackim, czy też że występując równocześnie w gwarach sąsiednich przestaje być argumentem sam dla siebie i może popierać zamierzoną tezę tylko w połączeniu z cechami typowymi dialektu, a więc tylko jako zespół cech, i pod warunkiem, że nie będzie w obchodzącym nas dialekcie faktów obcych, pochodzących z innych narzeczy.

Jak w świetle tak postulowanej, naukowej analizy wygląda język „Chłopów"? Odpowiedź na to dają nam opinie specjalistów co do strony językowej — powtarzam, językowej a nie artystycznej — dzieła Reymonta. W r. 1911 prof. Nitsch poruszył mimochodem w swej, pierwszej w Polsce, monografii dialektów polskich („Mowa ludu polskiego") zagadnienie utworów literackich pisanych gwarą, lub posługujących się elementami gwary dla oddania kolorytu lokalnego. Mowa jest oczywiście i o „Chłopach" Reymonta. I tu Nitsch — jako dialektolog — oświadcza, że „jakkolwiek ogólny ton mowy chłopskiej pochwycony jest tu na ogół dobrze, miejscami nawet doskonale, to w szczegółach niejedno zarzucić jej można". Jako najcięższy zarzut skierowany przeciw autentyczności gwary w „Chłopach" jest, że w powieści opartej „na życiu łowickich Księżaków" pomieścił Reymont „formy wprost skośławione, jak np. rażące, nigdzie w gwarach nie spotykane używanie aorystycznej końcówki l. osoby **-ch** dla innych osób, np. **kupą poszli tańcować, bych się nieco otrzeźwić** lub **reszta narodu rozpierzchła się na wsze strony, bych czasem nie pociągnęli do świadczenia.** Nie jest więc ten język odbiciem określonego, naprawdę istniejącego narzecza".

Mamy tu stwierdzenie niezbitego faktu: Reymont wprowadził do gwary „Chłopów" formę nie istniejącą w dialekcie łowickim, a nawet nie istniejącą w gwarach w ogóle. Faktu tego nie można pomijać wstydliwym milczeniem wtedy, gdy się oświadcza, że epopeja Reymontowa „jest to po prostu etnograficznie wierna monografia wsi łowickiej... Szczegółowe badanie ujawnia, że nic tu (poza fabułą oczywiście) nie jest zmyśleniem ani kłamstwem. Reymont doskonale znał materiał, którym się posługiwał. Wszystko wskazuje, że go nawet specjalnie studiował". Stanowczo, złą przysługę wyrządza p. Rzeuska Reymontowi, robiąc z niego badacza i dialektologa. Jako artyście wolno mu było posłużyć się formą we własnej niewiedzy przez siebie zniekształconą, jako badaczowi — nie. Na szczęście tym kryterium uczoności nie obciążano Reymonta-artysty. I kiedy w 25 lat po wystąpieniu prof. Nitscha ożyła dyskusja naukowa nad tworzywem językowym „Chłopów" Reymonta (por. Język Polski XXI, 1936, s. 5—14), językoznawcy oddając hołd Reymontowi oświadczeniem, że „bez języka „Chłopów nie byłoby arcydzieła „Chłopów", swobodnie omawiali te elementy językowe, które znajdując się w epopei Reymonta pochodziły spoza obszaru łowickiego.

A były nimi z jednej strony morfologiczne **posiedzim, pójdziem, słuchalim** (gdy po łowicku jest tylko **pójdziewa, posiedziwa** lub jak w języku literackim **pójdziemy**), czy też hiperpoprawne formy z okolic Wielunia **myślałech, tamech był** i **przeciech** zam. **przeciek**, a nawet krakowsko-podhalańskie **grzysi** (= grzechy) i małopolskie **dobrej myśle**; z drugiej zaś strony różne obce terytorium łowickiemu wyrazy: **wycug** (tak na Śląsku na „dożywocie"), częstochowsko-radomszczańskie **połednie** (całe Łowickie ma **południe**) czy **karpiele**, wielkopolski **kokot** (po łowicku **kogut** lub **kobut**) itp..

Oczywiście nie znaczy to, że w powieści swojej Reymont nie posługiwał się gwarą łowicką. Mógł się nią posługiwać, mając jej elementy w swym bezpośrednim z Księżakami kontakcie i wśród nich sytuując akcję „Chłopów". Ale na ten dialekt lokalny nawarstwiał swobodnie — miał do tego pełne prawo jako artysta — elementy gwarowe z okolic Łodzi, Piotrkowa, Łęczycy, Wielunia, czy wreszcie z własnych stron rodzinnych. Wiadomo zresztą z posłowia Adama Bara do najnowszego wydania „Chłopów" (1948), że „jak wynika z notatek zachowanych w Ossolineum" Reymont „zbierał charakterystyczne wyrażenia gwarowe z różnych okolic". Ale od tych zapisek niezbędnych dla każdego pisarza-realisty daleko jeszcze do systematycznych i konsekwentnych studiów, a dobór form czy materiału wyrazowego wniesionego do „Chłopów" wyraźnie wskazuje, że autor nie paraliżował swej wizji artystycznej i barwności opisu językowymi pętami określonej jednej okolicy.

Pozostaje jeszcze podkreślić stanowisko dialektu łowickiego i sąsiednich tak w stosunku do innych regionów gwarowych jak i do języka literackiego. Jest to obszar bez uderzających odrębności głosowych w rodzaju południ.-małopolskiego **na nogak, robiłek** czy dalszomazowieckiego **psiwo, ziara** (= wiara), **świadek.** W stosunku do jęz. literackiego cechuje go parę zbieżności zmniejszających dystans i ułatwiających rozumienie języka gwary, ale też przez to znoszących się eo ipso jako wskaźnik czy sprawdzian gwarowości w utworze literackim. Tak np. brak e pochylonego czyli wymowa **kobieta, dopiero, śnieg,** a nie **kobiła, dopiro, śnig** zbliża dialekt łowicki do dzisiejszego dialektu kulturalnego. Jeśli dodamy, że w „Chłopach" ze zrozumiałych względów estetycznych i łatwości czytania nie wprowadził Reymont bardzo konsekwentnego w dialekcie łowickim mazurzenia i **a** pochylonego, a więc **czarna czysta, żaden** a nie **corno, cysto, zoden**, jeśli stwierdzimy, że ponadto formy **ćwierć, niedźwiedź, świat** zachowują taką samą jak w języku literackim miękkość całej grupy spółgłosek, inaczej niż w mazow. **ćwyrć, niedźwydź, świat,** to z wyliczonych przez Świderską-Konecznią najważniejszych pięciu łowickich cech fonetycznych zostanie jedynie południ.-zach.-polska wymowa typu **jezdem**, łącząca jednak Łowickie z obszarem Łodzi, Piotrkowa, Łęczycy, Częstochowy, i — jako jedyny wreszcie rys bardziej indywidualny — formy w rodzaju **beli, sielny.** Doprawdy, nie jest łatwo w takim układzie właściwości językowych bronić tezy czystości, jednolitości i wyłączności gwary łowickiej w „Chłopach" dla podniesienia walorów realistycznych książki. I czy jest to potrzebne?

P. Rzeuska, widząc, jak nikt, z bliska i jasno splot różnokierunkowych prądów i tendencji literackich w „Chłopach" i przyznając, że odbijają się one także w stylizacji językowej dzieła, do sprawy łowickości języka „Chłopów" przywiązuje wyolbrzymione, powiedziałabym, niemal magiczne znaczenie. Rehabilitacja na tym polu ma przywrócić utworowi jego kwestionowaną pozycję i rolę w realistycznej powieści polskiej.

Nie mogę się tutaj wdawać w ocenę powodzenia tej restytucji. To należy do piór kompetentnych w tej dziedzinie. Zastanawia mnie tylko, czy dawanie w utworze z życia chłopów fotograficznie wiernego, zgodnego z rzeczywistością, zlokalizowanego języka wsi jest zawsze warunkiem sine qua non realizmu i czy Reymontowi nie wolno było jako realiście postąpić inaczej? Czy właśnie inaczej nie postępował? Tu właśnie wyłania się czynnik artystycznego kształtowania utworu i swobody doboru środków, mających przekazać czytelnikowi pewien zamierzony przez autora obraz rzeczywistości. Fotograficzna dokładność nie może tu być receptą niewolniczo obowiązującą. Rzucenie na tło systemu językowego, odbarwionego z rysów bardziej indywidualnych i nieraz bliskiego językowi literackiemu, form z innych narzeczy wyraźnie uderzających swoją ludowością, albo zużytkowanie, dla zindywidualizowania i zróżnicowania społecznego postaci, form niełowickich daje w wyostrzonym skrócie niezatarte wrażenie języka ludowego — ogólnochłopskiego języka wsi — i w przeżyciu estetycznym czytelnika, a nawet wymogach realistycznej dokumentacji jest rzeczą drugorzędną, czy Reymont pokazał w „Chłopach" autentyczny język wsi Lipce, czy język części powiatu skierniewickiego, czy całego Księstwa z jego wewnętrznymi zróżnicowaniami, czy wreszcie — jak na to wskazuje analiza językowa — kompilowany obraz szerszego obszaru gwarowego, znanego Reymontowi z autopsji.

Ta „prawda" o języku „Chłopów" nie podkopuje wysokiego artyzmu dzieła i jego pionierskiej roli w dialektyzacji języka utworu literackiego. Jego realizm, jak się dowiadujemy z artykułu p. Rzeuskiej, nie przestaje oddziaływać na młode pokolenia pisarzy związanych z tematyką wsi, a piętnaście wydań „Chłopów" w ciągu lat 40 jest — mimo „nieautentyczności" ze stanowiska naukowego gwary w „Chłopach" — niezaprzeczonym dokumentem żywotności dzieła.

Antonina Obrębska-Jabłońska

JANINA KULCZYCKA-SALONI

Turgieniew po polsku

W naszej obfitej i wszechstronnej, choć nieco bezładnej, akcji wydawania arcydzieł literatury światowej Turgieniew, pewnie zresztą z przypadku, zajął miejsce poczesne. Wydano w nowych przekładach prawie wszystkie, uznane za ważne dzieła, które zadecydowały o stanowisku Turgieniewa w literaturze rosyjskiej i światowej. Mamy więc w nowych przekładach następujące utwory: „Opowiadania"[1], „Rudin"[2], „Szlacheckie gniazdo"[3], „Pierwsza miłość"[4], „Ojcowie i dzieci"[5], „Dym"[6], „Wiosenne wody"[7]. Czyli, że brakuje jeszcze całości „Wspomnień myśliwego", powieści „W przededniu" i „Nowina", abyśmy mieli po polsku wszystkie większe i bardziej reprezentatywne dzieła Turgieniewa. Mimo te braki czytelnik polski może odczytać i poznać długą drogę twórczą wielkiego prozaika, zawierającą w sobie zsyntetyzowane i uplastycznione dzieje grupy społecznej, do której należał.

Z dużego cyklu „Wspomnień myśliwego" czytelnikowska „Biblioteka romansów i powieści" zamieściła 6 opowiadań, uzupełniając je innymi, co prawda połączonymi tematycznie, ale pochodzącymi z późniejszych lat działalności pisarskiej Turgieniewa. Wybór ten jednak pozwala się zorientować w typie i charakterze małych arcydzieł, które stały się wielkim wydarzeniem literackim i politycznym.

Turgieniew bowiem w chwili, gdy ogłaszał swoje opowiadania najpierw w czasopiśmie „Sowremiennik", a potem w wydaniu książkowym, był już autorem kilku poematów w stylu Puszkina i Lermontowa oraz utworów scenicznych, w których wykazał niewątpliwie duży talent. Przeszły one jednak bez większego wrażenia, a obojętność czytelników i krytyków była tak całkowita, że mimo słów serdecznej zachęty ze strony Bielińskiego Turgieniew myślał o całkowitym zaniechaniu pracy pisarskiej. Dopiero ogromny sukces „Wspomnień myśliwego" wskazał mu właściwą drogę.

Faktycznym bohaterem tych opowiadań był chłop rosyjski, którego drobne, codzienne sprawy opisywał Turgieniew z niespotykaną dotychczas bujnością i precyzją języka. Na postacie swoje patrzył jeszcze z intelektualną i kulturalną wyższością ziemianina, ale pokazywał je jako nieszczęsne ofiary ustroju pańszczyźnianego, jego bezmyślnego okrucieństwa, dopuszczającego, by człowiek należał i zależał od człowieka. Pod tym względem Turgieniew był przedstawicielem najszlachetniejszych, najlepszych zdobyczy liberalnego ziemiaństwa lat czterdziestych. W opowiadaniach swych prostych, bezpośrednich, wolnych od głośnych słów i skomplikowanych komentarzy, przemawiających tylko uchwyconą prawdą, stworzył Turgieniew bezlitosne oskarżenie Rosji i jej feudalnych przeżytków, które wywołało żywy oddźwięk wśród lewego i prawego skrzydła społeczeństwa rosyjskiego. Ugrupowania rewolucyjne powitały książkę jako wyraz artystyczny dla swego programu, konserwatyści zaś dostrzegli w niej niebezpieczny zamach na panujący ustrój.

Cenzor, który puścił książkowe wydanie „Wspomnień" dostał dymisję, autor zaś, który równocześnie naraził się rządowi carskiemu przez ogłoszenie wspomnienia o Gogolu, skazany został najpierw na miesiąc aresztu, a potem na półtora roku przymusowego pobytu w majątku rodzinnym.

W opowiadaniach tych możemy jednak już zaobserwować genezę późniejszych wahań, rozczarowań i kompromisów pisarza, które dzielił z całą swoją grupą. Pokazują one bowiem nie tylko to, co stanowiło zasługę liberalnego ziemiaństwa, co było jego humanitarnymi, sztandarowymi hasłami, ale także demaskują to, co było jego słabością, co wprowadziło je w polityczny impas i w ostateczności kazało się wiązać z ugrupowaniami reakcyjnymi i wyrzekać się tego wszystkiego, co we własnej ideologii wydawało się niebezpiecznym rewolucjonizmem, nihilizmem, burzeniem ładu społecznego, który jednak powinien trwać i który się powinno udoskonalać.

Już we „Wspomnieniach myśliwego" widzimy niezdecydowanie Turgieniewa, jego obawę przed wszelką skrajnością, jego bierną postawę wobec zła, które widział i które umiał pokazać. Jego bystre i bezlitosne spojrzenie artysty wykrywało cały bezsens ustroju pańszczyźnianego, umożliwiało mu stworzenie krytycznego obrazu panujących stosunków, komentarz autorski zaś dążył do zatarcia zbyt ostrych konturów, do odsunięcia nawet myśli od możliwości konfliktu społecznego i nie pozwalał na wyciągnięcie oczywistych wniosków ze stworzonego przez artystę obrazu.

LIBERAŁ ENTUZJASTA

Ten ziemianin-liberał, który we „Wspomnieniach myśliwego" był obserwatorem i narratorem, który ze strzelbą na ramieniu chętnie błądził po swych rozległych majątkach i patrzył, jak żyją podlegli mu ludzie, stał się głównym bohaterem powieści Turgieniewa. Turgieniew pokazał jego dzieje z ścisłością niemal dokumentarną, prześledził wszystkie etapy, które przeszła myśl liberalnego ziemiaństwa, pokazał jej nieuzasadnione nadzieje i nieoparte na znajomości rzeczywistości społecznej teorie, jej zawody i rozgoryczenia.

Bohaterowie jego powieści mają tę samą genealogię społeczną. Zrodzili się oni wśród bogatego ziemiaństwa (Leżniew w „Rudinie", Ławrecki w „Gnieździe szlacheckim"), niezwiązani są w żaden sposób z procesem produkcji, nie znają potrzeby ani obowiązku pracy, a równocześnie dostrzegają, że przekształca się struktura ekonomiczna Europy, że Rosja pozostaje anachronicznym zabytkiem dawnych form, w którą jednak coraz wyraźniej biją fale młodego i zdobywczego kapitalizmu. Mają więc oni czas dużo myśleć, kształcić się przez lekturę i podróże, obcować ze światłymi ludźmi Europy, marzyć. Nie znają natomiast rzeczywistości, nie rozumieją praw, które nią rządzą. Obcy już są swojej klasie, widzą jak bardzo jest ona zacofana kulturalnie, jak bardzo zamknięta w swym klasowym egoizmie, a równocześnie nie tylko nie należą do żadnej innej, ale nie znają jej nawet, nie wiedzą, gdzie jej szukać.

Ciekawym przykładem tej postawy jest Rudin, bohater tytułowy powieści Turgieniewa. Należał on do jednego z tych „kółek" studenckich, w których skupiała się i organizowała się wolnościowa myśl roryjska w latach czterdziestych, najgorszym chyba okresie nocy mikołajowskiej.

Otóż Rudin jest takim właśnie wychowankiem mglistych poglądów romantycznego rewolucjonizmu, przesiąkniętych jednak nowymi elementami. Nie zawsze potrafi dokładnie sformułować swoje poglądy, nie wie jak można wprowadzić je w czyn. Tuła się po Rosji, jeździ z miejsca na miejsce; z początku budząc zachwyt swą pełną czaru osobą, potem zbyteczny, niepotrzebny, nawet szkodliwy. Jest jakaś tragiczna przepaść między tym, co Rudin głosi i co chciał robić, a tym, co robi faktycznie. Nie ma dla niego miejsca w społeczeństwie rosyjskim, którego nie rozumie, a które radby przebudować w imię swych nieokreślonych zasad.

Otoczony pogardą światowych snobów, których epatował swym rewolucjonizmem, „zdeklasowany", odepchnięty przez dawnych ideowych przyjaciół, patrzy Rudin z jakimś biernym smutkiem na swoje zmarnowane życie. Bezdomny tułacz nie chce przyjąć ofiarowywanej z litości gościny, opuszcza Rosję, by w czerwcu 1848 r. zginąć na barykadach Paryża.

W toku powieści Turgieniew sam nie był zdecydowany, jakie ma zająć stanowisko wobec swego bohatera. Traktował go z początku drwiąco i z pogardą, widząc w nim frazesowicza i kabotyna, ba, nawet pieczeniarza. Widział w nim przejaw jakiejś degeneracji na tle zdrowego społeczeństwa ziemiańskiego. W zakończeniu zaś, kiedy sam Rudin doszedł do głosu i kiedy sam opisał swe życie będące jedną klęską i rozczarowaniem, otoczył go autor niespodziewaną sympatią. Jeśli można te sprawy podciągnąć pod znany schemat konfliktu jednostki i społeczeństwa, to w zakończeniu przyznał autor rację nieudanej, zmanierowanej jednostce. Rudin wyrósł nagle na ofiarę ustroju, opartego na ucisku. Autor uznał w nim sens protestu przeciwko temu ustrojowi i wartość entuzjazmu nawet bezprzedmiotowego.

W tym niekonsekwentnym i niejednolitym stanowisku wobec bohatera wyraziła się postawa Turgieniewa — z jednej strony widział on, że ludzie typu Rudina, nie związani z żadnym społecznym podłożem, są bezużyteczni, że ich wysiłki skazane są na zagładę, z drugiej zaś strony zbyt silnie był z tą grupą związany, by odmówić jej swojej autorskiej sympatii i by nie szukać uzasadnienia, że ich życie pozornie tylko zostało zmarnowane, w rzeczywistości zaś było ofiarą poświęconą lepszej przyszłości.

LIBERAŁ — POGODZONY Z LOSEM

Przeciwstawieniem Rudina jest Leżniew, kolega Rudina z czasów studenckich, który jednak bardzo prędko rozczarował się do szumnej, lecz mało sprecyzowanej wiary swojej młodości. Jedyną wartość życiową widzi w pracy nad udoskonaleniem dużego dziedzicznego majątku. Sprawy gospodarskie, rozwiązywanie doraźnych technicznych trudności wydaje mu się czymś znacznie bardziej użytecznym, niż dyskusje na zasadnicze ogólnoludzkie tematy.

Ta postawa, która tak bardzo przypomina późniejszych polskich „organicznikow", staje się ucieczką dla wielu bohaterów Turgieniewa.

(Dokończenie na str. 6)

1) I. Turgieniew — Opowiadania, Biblioteka romansów i powieści nr 29, „Czytelnik", przekł. Leonard Podhorski-Okołów.

2) Iwan Turgieniew — Rudin, powieść, tłumaczył z rosyjskiego Stefan Kołaczkowski z przedmową Wandy Lipskiej, Wydawnictwo Władysława Bąka, Łódź — Wrocław, 1946.

3) Iwan Turgieniew — Szlacheckie Gniazdo, powieść, przekład Heleny Mankiewicz-Szaniawskiej z przedmową Marii Alexandrowicz, ibidem.

4) Iwan Turgieniew — Wiosenne wody, Pierwsza miłość, — przekład K. A. Jaworskiego, „Wiedza", Warszawa, 1948.

5) I. Turgieniew — Ojcowie i dzieci, tłumaczył Jan Dąbrowa, Wydawnictwo Władysława Bąka, Łódź — Wrocław, 1947.

6) I. Turgieniew — Dym, tłumaczył Dr T. Stępniewski, wstępem opatrzył prof. K. W. Zawodziński (sic!), ibidem, 1948.

7) I. Turgieniew — Mumu, przekład Gabrieli Reklewskiej, Warszawa 1947, Sp. Wyd. Płomienie.

Z POEZJI CHIN LUDOWYCH

AI CZIN

RANEK OZNAJMIA SIĘ

Oznajmij ludziom, poeto, moje przybycie.
Drogi już pełne są rosy,
opada ostatnia gwiazda.

Przychodzę ze wschodu, przychodzę od szumiącego morza.
Przynoszę światu światło.
Przynoszę ludzkości ciepło.

Zawołaj czekających z płonącymi oczyma,
zawołaj dalekie, strudzone wioski i miasta,
oznajmij im przyjście słońca, poselstwo światła.

Przyjmijcie mnie dźwiękiem trąb, rykiem syren.
Niech zamiatacze oczyszczą ulice.
Niech się obudzą mgłą okryte wioski.
Gospodyni otwiera kurnik,
gospodarz wiedzie bawołu na pole.

Wymieć wszystkie podwórza,
otwórzcie okna z barwnego papieru
i bramy, noszące noworoczne napisy.

Obudź pilne kobiety, chrapiących mężczyzn,
dziewczyny i młodych kochanków,
zmęczoną matkę i dziecko przy jej boku.

Obudźcie się, chorzy i starzy,
i bojownicy, ranni w sprawiedliwej walce,
i uciekinierzy z zajętych terenów.

Obudźcie się, nieszczęśliwi. Ja was pocieszę.
Obudźcie się wszyscy ludzie, którzy kochacie życie.

Kto umie śpiewać, niech mnie pozdrowi pieśnią,
tancerz zaś tańcem.

Poeto, zanieś ludziom szczęśliwą wieść,
powiedz im, niech się zbroją na moje przyjęcie.
Gdy wezwie mnie ostatnie pianie kogutą, przybędę.
Skierujcie wszystkie oczy ku niebu.
Oto jest koniec nocy,
zbliża się błogosławiące światło.

LU LI

GDY OTWORZYŁEM OCZY

Gdy otworzyłem oczy
nie wiedziałem, jak długo spałem.
Zmieniona leżała przede mną
ojczyzna droga moja, drogi mój świat.
Osypana kwiatami ranka dal.
Drogi śpiący kraj.

Wędruję nad szczyty gór,
do każdej wioski ciągnie mnie serce,
wszystkich braci pragnę odwiedzić.
Sam siebie zapominam, jestem małym jesiennym owadem,
i śpiewam, śpiewam pieśń bez końca.
Jestem świetlikiem ,iskrą ,co bzyka w dolinie
i czarnym wiatrem, który maluje góry.

Jakże kocham mój kraj! Jakże kocham świat!
Cicho — nie chcę niszczyć jego pokoju.
Chcę go zawsze oglądać, czule ochraniać.

przełożył LECH ANDRZEJ PIJANOWSKI

BIBLIOTEKA NARODOWA
Nr 60, S. I

ŚREDNIOWIECZNA
POEZJA POLSKA
ŚWIECKA

OPRACOWAŁ
ST. WIERCZYŃSKI

Stron LXX + 104
Cena zł 280.—

ZAKŁAD NARODOWY
IMIENIA OSSOLIŃSKICH

BIBLIOTEKA NARODOWA
Nr 13/14, S. I

JULIUSZ SŁOWACKI

BENIOWSKI

OPRACOWAŁ
JULIUSZ KLEINER

Stron LXXV + 510
Cena zł 500.—

ZAKŁAD NARODOWY
IMIENIA OSSOLIŃSKICH

BIBLIOTEKA NARODOWA
Nr 131, S. I

FRYDERYK CHOPIN

WYBÓR LISTÓW

OPRACOWAŁ
ZDZISŁAW JACHIMECKI

Stron LVI + 216
Cena zł 400.—

ZAKŁAD NARODOWY
IMIENIA OSSOLIŃSKICH

BIBLIOTEKA NARODOWA
Nr 47, S. I

JULIUSZ SŁOWACKI

POWIEŚCI POETYCKIE

OPRACOWAŁ
MANFRED KRIDL

Stron XV + 234
Cena zł 240.—

ZAKŁAD NARODOWY
IMIENIA OSSOLIŃSKICH

LE SAGE

Na arcybisku

1

CO ROBIŁ IDZI BLAS, OPUSCIWSZY ZAMEK LEYVOW I JAKIE PO NIEUDANYCH MIŁOSTKACH ODNIÓSŁ SUKCESY.

Jechałem na dobrym i w dodatku własnym koniu, miałem w sepecie dwieście pistolów, których znaczna część od zabitych opryszków pochodziła i do trzech tysięcy dukatów, Samuelowi Szymonowi zrabowanych, albowiem don Alfons całą tę niezbyt uczciwie zdobytą sumę zwrócił z własnego grosza. Poczytując tedy ową gotowiznę za prawnie mi przynależną, radowałem się bez skrupułów. Miałem więc substancję, dzięki której mogłem nie turbować się o przyszłość, nie mówiąc o młodym wieku i niezachwianym zaufaniu we wrodzone talenta. Spodziewałem się przyjemnego pobytu w Toledzie. Nie wątpiłem, że hrabia de Polan ogromnie widokiem jednego ze swoich wybawców ucieszony, da mu w swoim pałacu stancję. Zostawiłem sobie jednak pobyt u hrabiego na czarną godzinę, tymczasem zaś umyśliłem wydać część pieniędzy zwiedzając królestwa Murcji i Granady, na co szczególniejsza przyszła mi ochota. Udałem się w tym celu do Almansy i jadąc od miasta do miasta stanąłem wreszcie nie napotkawszy żadnej złej przygody, w Granadzie. Zdawało się, że fortuna, wypłatawszy mi już nie jednego figla chciała mnie zostawić w spokoju. Zdrajczyni gotowała mi jednak nowe zasadzki, jak się o tym wkrotce przekonacie.

Pierwszą osobą, którą spotkałem na ulicach Granady był imci pan Fernand de Leyva podobnie jak don Alfons zięć hrabiego de Polan. Obopólne zdumienie nie miało granic.

— Cóż cię Idzi Blasie do tego miasta sprowadza? — spytał ów kawaler.

— Dziwicie się mości panie, że mnie tutaj widzicie — odparłem — zdziwicie się jeszcze więcej, kiedy wam oznajmię, czemu opuściłem służbę u don Cezara i jego syna.

Opowiedziałem mu tedy, nic nie skrywając, co pomiędzy mną i Sephorą zaszło. Zaśmiał się z całego serca, po chwili jednak rzekł poważnie:

— Mój przyjacielu, ofiaruję ci pośrednictwo w tej sprawie. Napiszę do szwagierki...

— Nie, nie, mości panie — przerwałem — nie pisz do niej, błagam. Nie potem opuścił zamek Leyvów, żeby do niego wracać. Skoro jesteś mi aż tak przychylny, o inną łaskę proszę. Jeśli któryś z twoich przyjaciół potrzebuje sekretarza lub intendenta, przemów na moją korzyść. Nie będzie miał, przysięgam, do ciebie żalu, że mu złego nastręczyłeś człowieka.

— Bardzo chętnie — odparł don Fernand — spełnię twoje żądanie. Przybyłem do Granady, żeby odwiedzić starą chorą ciotkę, zabawię tu trzy niedziele, poczem wrócę do zamku Lorgui, gdziem Julię zostawił. Mieszkam w tym domu, przydał, wskazując na sąsiedni pałac. Przyjdź do mnie za kilka dni, a może przez ten czas wyszukam ci jakąś uczciwą kondycję.

Kiedym się u niego po trzech dniach zjawił, don Fernand powiedział:

— Ksiądz arcybiskup Granady, mój krewny i przyjaciel potrzebuje człowieka obznajmionego z literaturą a także kaligrafią dla przepisywania na czysto dzieł jego, ponieważ jest sławnym autorem. Skomponował już Bóg wie ile homilii i codzień nowe układa z wielkim je aplauzem mawiając. Będąc pewnym, że mu się spodobasz, powiedziałem o tobie a on polecił abyś się stawił. Idź więc i powołaj się na mnie. Z przyjęcia, jakiego doznasz wniesiesz czym cię dość gorliwie zachwalał.

Trudno było marzyć o lepszej kondycji (tak mi się przynajmniej zdawało). Odziawszy się tedy chędogo, aby jak najlepiej przed tym prałatem stanąć, udałem się do arcybiskupiego pałacu.

Gdybym miał naśladować pisarzów zmyślających romanse, dałbym pompatyczny opis siedziby tego książęcia kościoła: zachwycałbym się wspaniałością budowli, wysławiałbym bogate meble, nadmieniłbym o malowidłach i rzeźbach, a rozwodząc się nad scenami, które wyobrażały, nie pominąłbym najdrobniejszego szczegółu. Nie chcąc jednak cierpliwości czytelnika nadużywać, powiem tylko, że przepychem ów pałac Eskurialowi nie ustępował.

Zastałem na pokojach rzesze duchownych i świeckich, którzy przeważnie oficjalistami monsignora byli. Roiło się od jałmużników, dworzan, koniuszych i lokai. Świeccy kosztowne nosili suknie i raczej za wielkich panów niźli za służbę uchodzić mogli. Zadzierali nosa i udawali znaczne osoby. Nie mogłem patrząc na nich powstrzymać się od śmiechu i naigrywałem się w duchu z tych ichmościów.

„Przebóg, myślałem sobie, szczęśliwi są ci ludzie, albowiem nie czują jarzma, które noszą; gdyby je czuli, spuściliby zaraz z tonu". Podszedłem do poważnego grubasa, który drzwi gabinetu arcybiskupiego pilnując, zamykał je i otwierał w miarę potrzeby. Spytałem go grzecznie, azali przed oblicze jego przewielebności mogę być dopuszczony.

Zaczekaj — odparł wyniośle — jego dostojność wyjdzie niebawem, aby odprawić mszę. Może przechodząc udzieli ci krótkiego posłuchania.

Nie odpowiedziałem mu wcale. Uzbroiłem się w cierpliwość. Dłużyło mi się jednak czekanie, popróbowałem więc wdać się w rozmowę z dworakami. Zmierzyli mnie od stóp do głów i nie odpowiedziawszy ani słowa, popatrzyli po sobie z pysznym uśmiechem dając mi poznać, żem wielkie popełnił zuchwalstwo zagadując do nich.

Bardzo, przyznam się, byłem tym przyjęciem skonfundowany. Nie nawykłem aby lokajstwo pogardliwie odnosiło się do mnie. Nie ochłonąłem jeszcze z pomieszania, kiedy otwarły się drzwi gabinetu i stanął w nich arcybiskup. Zapanowała cisza jak makiem zasiał. Zuchwali oficjaliści i służba, pochylili się w kornym przed panem ukłonie. Ów prałat około siedemdziesięciu lat liczący, przypominał żywo stryja mojego Idziego Pereza, to znaczy był otyły i przykrótki; nogi miał nadzwyczaj krzywe, a głowę łysą jak kolano, której jedyny zwisający z tyłu kosmyk przydawał urody, czapeczką z cienkiej wełny, ozdobioną długim kutasem, przystrajał. Mimo to znaczną wydał mi się personą, dlatego pewnie, że wiedziałem kim był. My ludzie niskiego stanu przeróżnych zalet w możnych panach dopatrywać się lubimy, lubo natura nic im osobliwego nie użyczyła. Arcybiskup przystąpił do mnie i zapytał z wielką ludzkością, czegom sobie życzył. Odparłem, że jestem młodzieńcem, o którym mówił mu don Fernand de Leyva. Nie dał mi więcej powiedzieć.

— A, to ciebie mój pan kuzyn tak wychwalał! — zawołał. — Daję ci służbę. Szacownym jesteś dla mnie nabytkiem. Zostajesz tu od dzisiaj.

To rzekłszy wsparł się na ramionach dwóch masztelarzy i wysłuchawszy duchownych, którzy mieli jakieś prośby do przedłożenia, wyszedł. Ledwie arcybiskup zniknął za progiem, a już obskoczyli mnie dworacy jego, ci sami, którzy przed chwilą słowa do mnie przemówić nie raczyli. Otaczają mnie kręgiem i komplimenta prawią, wielkie okazując ukontentowanie, żem arcybiskupim został oficjalistą. Usłyszeli co ich pan rzekł do mnie i umierali z ciekawości, aby się dowiedzieć jakie przy jego osobie będę pełnił godności. Lecz ja mszcząc się za okazaną pogardę, byłem tak złośliwy, żem pary z gęby nie puścił.

Jego przewielebność niedługo w kaplicy zabawił. Wiedziałem, że chce się o moich umiejętnościach przekonać; miałem się więc na baczności i na każde słowo zważałem. Najsampierw zagadnął mnie z greckich i łacińskich autorów i widząc, żem ich miał w małym palcu, jął mnie egzaminować z dialektyki, a tegom tylko czekał. Postrzegł, żem jest w filozofii kuty na cztery nogi.

— Twoja edukacja — oznajmił z podziwieniem — wcale nie jest zaniedbana. Zobaczymy teraz jak piszesz.

Dobyłem z kieszeni umyślnie przygotowany arkusz. Mój prałat był wcale kontent.

— Bardzom rad z twojego pisma, a jeszcze bardziej z ukształcenia, — zawołał. — Podziękuję synowcowi mojemu Fernandowi, że mi tak grzecznego narail kawalera. Wielce piękny to upominek!

Rozmowę naszą przerwało kilku znakomitych panów z Granady, zaproszonych do arcybiskupa na obiad. Skłoniwszy się więc głęboko, wróciłem do sali gdzie oficjaliści obskoczywszy mnie znowu, jęli z góry o moje zabiegać łaski. Poszedłem z nimi na obiad, podczas którego wszyscy uważnie mi się przyglądali, a ja także miałem na nich oko. Jakże przyjemna i budząca zaufanie była powierzchowność tych sług bożych! Pałac arcybiskupi takim napełniał mnie respektem, że świętymi wydały mi się te osoby! Ani mi w głowie nie postało, że świętość ich fałszywą monetą tylko była, jak to się często zdarza zausznikom książąt kościoła a także ich panom.

Siedziałem u stołu przy starym arcybiskupa pokojowcu, panu Melchiorze de Ronda, który z uprzejmością wielką przysuwał mi półmiski. Ujęła mnie jego życzliwość, a grzeczność zachwyciła.

— Panie kawalerze — szepnął mi po obiedzie, chciałbym bardzo pomówić z tobą na osobności.

Zaraz też zaprowadził mnie do gabinetu, gdzie nikt nas nie mógł słyszeć i w takie ozwał się słowa:

— Mój synu, jakiem cię tylko ujrzał, serdeczną ku tobie poczułem skłonność. Dam ci tego dowody poufale najrozmaitsze zawierzając tajemnice, które z wielkim dla siebie będziesz mógł obrócić pożytkiem. Wstąpiłeś na służbę do domu, w którym ludzie szczerej pobożności z obłudnymi przemieszkują świętoszkami. Nie starczyłoby ci życia, aby poznać wszystkich z gruntu. Zaoszczędzę ci więc przydługich i niemiłych studiów i o charakterze co znaczniejszych osób opowiem. Będziesz dzięki temu wiedział jak postępować.

Zacznę — ciągnął dalej — od jego przewielebności. Jest to prałat arcypobożny, ustawicznie zajęty pasaniem owieczek swoich. Układa ku ich zbudowaniu pełne wybornych morałów homilie. Wszystko to czerpie z własnej głowy. Dwadzieścia lat temu dwór królewski porzucił, żeby poświęcić się swojej trzodzie. Uczony to pan i złotousty orator: kazania swoje z wielkim wygłasza upodobaniem, a lud z ukontentowaniem ich słucha. Powiadają, że pycha rozpiera go na ambonie — trudno mi o tym sądzić. Nie nam śmiertelnym serca ludzkie przenikać, a prócz tego nie godzi mi się wyliczać defektów arcybiskupa, skoro jego chlebem żyję. Jeśli mi wolno przyganić panu, potępiłbym jego surowość. Zamiast na słabostki duchownych pobłażliwym spoglądać okiem, niczego im nie przepuszcza. Prześladuje bez miłosierdzia tych zwłaszcza księży, co o swojej przekonani niewinności, powołują się na prawo i lekce sobie jego autorytet ważą. Ma jeszcze inną ułomność, pospolitą u wszystkich znaczniejszych osób: lubo wielce jest dla czeladzi łaskawy, pilności jej nie ceni wcale. Słudzy starzeją się w jego domu, lecz on ani pomyśli o ich dalszym stanie. Jeśli mu się zdarzy kogoś wynagrodzić, to tylko dzięki wstawiennictwu któregoś z kanoników, albo zacniejszych dworaków. Inaczej nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby komuś w czymkolwiek wygodzić.

Oto co stary sługa mówił o swoim panu. Poczem jął mi rozpowiadać o duchownych, którzy siedzieli z nami przy obiedzie. Odmalował wizerunki, bardzo od zewnętrznego wyglądu portretowanych różne. Nie przedstawił mi ich co prawda jako nieuczciwych ludzi, lecz jako podłych raczej księży. Oszczędził jednak niektórych i bardzo ich cnotę zachwalał. Dowiedziałem się więc, jak mam sobie z tymi panami poczynać. Tego samego jeszcze dnia zjawiłem się na wieczerzę z miną świętoszka. To nic nie kosztuje. Czemuż się więc dziwić, że tylu obłudników chodzi po świecie?

2.

IDZI BLAS ZOSTAJE FAWORYTEM ARCYBISKUPA GRANADY. ŁASKI KSIĄŻĘCIA KOŚCIOŁA SPŁYWAJĄ NA WIERNYCH ZA POŚREDNICTWEM IDZIEGO.

Po południu udałem się do austerii, żeby spakować manatki i zabrać konia. Wróciłem na wieczerzę do pałacu arcybiskupiego, gdzie bardzo przyzwoitą stancję z puchowym łóżkiem dostałem. Następnego dnia jego dostojność wezwał mnie z samego rana i kazał przepisywać homilię, napominając przy tym, aby kopia staranną i jak najbardziej wierną była. Nie zawiodłem mojego pana i o wszystkich akcentach, kropkach i przecinkach pamiętałem. Obaczywszy moją pracę arcybiskup nie tylko się uradował, lecz i mocno zdumiał.

— Ojcze niebieski, zawołał przejrzawszy wszystkie karty, nigdym udatniejszego nie widział pisania! Wybornym jesteś kopistą, a więc musisz być i nie gorszym gramatykiem. Powiedzże mi w sekrecie mój przyjacielu, czyś nie postrzegł czegoś, co twój dobry smak urazić by mogło? Na przykład niedbalstwa stylu, albo słów niewłaściwie użytych? Mogło to ujść mojej uwagi, kiedym tworzył w ogniu natchnienia.

— Wasza dostojność, odpowiedziałem skromnie, zbyt mało jestem na krytyka oświecony: a choćbym nawet wykształcenie miał najdoskonalsze, dzieła waszej wielmożności oparłyby się moim zarzutom.

Prałat nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się mile. Odgadłem jednak z myśli swego pana, że nawet arcybiskup nie może bezkarnie być autorem.

Owym pochlebstwem wkradłem się zupełnie w łaski książęcia kościoła. Mój pan z każdym dniem bardziej mnie cenił. Dowiedziałem się nakoniec od don Fernanda, który bardzo często bywał u niego, żem jest na drodze do wielkiej fortuny. Wkrótce i *prałat domysły pana Leyvy potwierdził.* Oto jak się to stało.

Pewnego wieczoru arcybiskup przepowiadał sobie przy mnie kazanie, które następnego dnia miał wygłosić w katedrze i wielce nim był zachwycony. Nie zadowolił się jak zwykle wysłuchaniem mojego zdania o całości, lecz kazał powiedzieć, które najbardziej spodobały mi się kawałki. Miałem szczęście, wskazałem bowiem ulubione miejsce prałata. Dzięki temu powziął o mnie mniemanie, żem subtelnie wszelkie piękności dzieła rozróżniać potrafił.

— Oto — zawołał — co się nazywa mieć gust przedni i wyczucie! Winszuję mój przyjacielu! twoje ucho nie jest beockie!

Jednym słowem taki był ze mnie kontent, że dodał:

Bądź teraz Idzi Blasie dobrej myśli o losie swoim! Będę się starał, aby życie twoje płynęło po różach. Pokochałem cię jak syna, a na dowód tego przypuszczam cię do poufałości.

*) Fragment nowego przekładu „Przypadków Idziego Blasa z Santillawy" który ukaże się w wydawnictwie „Książka i Wiedza".

STANISŁAW WYGODZKI

CZY NAPISZĘ POWIEŚĆ?

IV.

Przez kilka kolejnych dni i nocy nie opuszczałem warsztatu. W dzień pracowałem, w nocy zaś układałem się na stosie materiałów ułożonych za belami sukna, które mnie chroniły przed oczyma ciekawych. Czy mogły chronić przed poszukiwaniami gestapo?

Któregoś dnia, w okresie kiedy żyłem jeszcze w lęku i pod wrażeniem haniebnego czynu przewodniczącego M., odwiedził nasz warsztat komendant milicji, inżynier F. Wiedziałem od braci C., że asystował w czasie ich rozmowy, i ujrzawszy go obecnie poczułem, że blednę. Przychodził po mnie.

— Wyjdźmy stąd, mam z tobą do pogadania.

Wprowadził mnie do biura i kazał urzędniczce — tej samej, która mi poleciła „pisać coś dla ludzi", — aby nas zostawiła samych.

Czekałem w milczeniu.

— Wiem, że znałeś braci C., czy wiesz, co się z nimi stało? — zapytał.

Wszelkie zaprzeczanie nie miało sensu. Nie tylko on, wszyscy wiedzieli, żeśmy się znali, odparłem więc:

— Znałem ich, ale nie wiem, co się z nimi stało.

Był w czasie tej rozmowy inny, aniżeli do tej pory. Nie patrzał mi prosto w oczy, jak wówczas, gdy mówił, że byłby mu potrzebny Ural, aby przeprowadzić nową metodę utleniania rudy, ani tak, jak wtedy, gdy nas rewidował przy opuszczaniu warsztatu w poszukiwaniu szpulek z nićmi. Mówił z trudem, czekał, abym mu pomógł w wyjaśnieniu sytuacji, ale czymże mogłem mu pomóc? Wiedziałem, kim był, wiedziałem również, czego może chcieć ode mnie, chociażby z racji pełnionego urzędu.

Opowiedział mi, że asystował w czasie rozmowy przewodniczącego M. z braćmi C., raczej w tej części rozmowy, gdy przewodniczący zalecał „równość" wobec wszystkich. Konfrontując tę część jego opowiadania z relacją braci C. wiedziałem, że mówi prawdę, ale wnet dodał coś, czego już skonstatować nie mogłem — zresztą po co? Wszystko było wiadome.

Opowiadał, że po opuszczeniu gabinetu przez braci C. przewodniczący odbył z nim krótką rozmowę. Miała to być najpoufniejsza rozmowa szefa ze swoim podwładnym, ale zarazem najbliższym współpracownikiem. Ci dwaj ludzie, którzy przed chwilą wyszli, to komuniści. Jeżeli pozwolimy im działać, sprowadzą na nas nieszczęście i do tego nie możemy dopuścić. Dojdzie do walk bratobójczych — chyba wie, jakie są nastroje wśród ludności żydowskiej, zwłaszcza wśród biedoty, a tej jest przecież większość. Jeżeli bracia C. zostaną tej nocy zlikwidowani przez gestapo, on, komendant, ma milczeć, w przeciwnym razie dwulicowa gra przewodniczącego zostanie ujawniona i znów niepotrzebnie go obciążą za zlikwidowanie dwóch komunistów. Komendantowi polecił zainteresować się bliżej osobnikami znanymi z działalności komunistycznej oraz stwierdzić, z kim bracia C. się stykali.

F. przerwał opowiadanie, otworzył drzwi i stwierdziwszy, że nie ma nikogo, mówił dalej:

— Nie mogę dłużej. Mogłem wtrącać biedaków do chlewów i piwnic Dzielnicy Kamiennej, mogłem zabiegać, aby kontyngent został dostarczony w porę, ale tego nie mogę. Wiem, że jestem świadkiem mordu dokonanego na dwóch ludziach, przecież znałeś ich — zwrócił się do mnie — przecież to byli uczciwi ludzie.

Nie spuszczał ze mnie oka.

— Więc czego chcesz ode mnie?

Ciągle nie wiedziałem jeszcze, do czego zmierza.

— Pomóż mi.

Milczałem. Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Przygnębienie moje było tym większe, że pamiętałem o ofiarach, które ponieśliśmy, zanim zaczęliśmy cokolwiek robić.

Przerwałem milczenie.

— Rozumiesz chyba, poco przewodniczący powiedział ci, co uczyni z braćmi.

Nie rozumiał.

— Po to, aby cię związać z sobą na śmierć i życie. Mógł ci nie powiedzieć, co z nimi uczyni, natomiast musiał ci polecić śledzenie komunistów, to musiał zrobić, ale wiedział, że ten rozkaz się zbiegnie z dokonanym mordem, i tak czy owak musiałbyś skojarzyć zbieżność tych wydarzeń.

Przerwał mi:

— No więc co?

— Oczywiście, że wtedy wygodniej mu było rzecz całą postawić jasno. Obciążając ciebie wiedzą o tych posunięciach, związał cię z sobą. W zmienionych warunkach nie będziesz śmiał go obciążać. Będziesz go musiał bronić, aby — urwałem na moment — aby wybielać siebie samego.

Przysuwał sobie krzesło z takim trudem, jakby było niepomiernie ciężkie, ale nie usiadł.

— Chcę od ciebie pomocy.

— Jakiej znów pomocy? Czym ja mogę tobie pomóc?

Nie wiem, czy podchwycił mój ton. Przecież był władcą Dzielnicy!

— Skontaktuj mnie z Wawrzyńcem.

Byłem zaskoczony i chciałem mu z miejsca odpowiedzieć, że Wawrzyńca już nie ma w fabryce, wobec czego skontaktowanie go z nim jest niemożliwe, ale zamilkłem w ostatniej niemal chwili. Wydawało mi się, że przejrzałem jego grę. Gdybym mu powiedział, że wiem, co się dzieje z Wawrzyńcem, zorientowałby się niechybnie, że się nim interesowałem, że go szukałem, inaczej skądże mogłem wiedzieć, że go już nie ma w fabryce? Gdyby miał jakieś podstępne zamiary, stwierdziwszy, że się zajmowałem losem Wawrzyńca — czy nie zażądałby, pod groźbą, wyjaśnień, czego szukam poza gettem? Czy nie ułatwiłoby mu to zadań powierzonych mu przez przewodniczącego M.?

— Przecież wiesz, że bez asysty milicji nie wolno się wydalać z getta. Masz te same możliwości co ja, a napewno jeszcze większe, bo ja nie mam żadnych. Przecież możesz w tym mundurze — wskazałem nań palcem, patrząc jednocześnie na jego urzędową czapkę zdobną w komendanckie dystynkcje — poruszać się swobodnie.

Zdusił papierosa o podeszwę oficerek i powiedział:

— Ja im ucieknę. Mam tego dość.

Musiałem grę doprowadzić do końca.

— Gdybyś poszedł do fabryki, pozdrów ode mnie Wawrzyńca.

Spojrzał na mnie spodełba i wtedy zmiarkowałem się, że przeholowałem. Mógł moje powiedzenie — i słusznie — poczytywać za kpinę. Był jednym z tych, którzy dokuczali Wawrzyńcowi, i dobrze wiedziałem, że bez mojej pomocy Wawrzyniec nawet nie przystanie, aby z nim pomówić. Bez mojej pomocy, o ile miał uczciwe zamiary, do spotkania między nimi dojść nie mogło.

*

Wawrzyniec trafił do mnie. Szmul W. zaopatrzony w pismo Rady Starszych i zaświadczenie komendanta Schupo krążył po mieście, odwiedzając Niemców, od których zabierał do domu aparaty, aby je naprawiać. Zwykle dźwigał aparat a niejednokrotnie pod obu pachami dwa i schupowcy napotkawszy go po drodze bynajmniej nie byli zaskoczeni jego widokiem. Znali go osobiście, niejednokrotnie naprawiał im i ich znajomym zepsute aparaty, częstowali nawet papierosami, niektórzy z nich mówili po polsku. Któregoś dnia, w południe, gdy wracał do Dzielnicy obładowany dwoma aparatami, ktoś krzyknął ku niemu, wzywając go po imieniu. Wysoko, na platformie załadowanej manufakturą siedział Wawrzyniec i rozstawiwszy szeroko nogi usiłował powstrzymać konie. Szmul spojrzał, roześmiał się i kiwnął głową. Chciał pójść dalej.

— Zatrzymaj się, Szmul, chodź no tu — wskazał na ławkę z oparciem — siadaj, podwiozę cię z tym ciężarem.

— Przecież wiesz, że nie wolno.

Wawrzyniec machnął ręką.

— Co tam, nie wolno! Przecież to żydowski wóz.

Przechyliwszy się wskazał na szyldzik przymocowany do poprzecznej deski. Na szyldzie widniała niebieska gwiazda i nazwa naszego warsztatu. Pomiędzy kilkoma domami zarekwirowanymi pod warsztaty krawieckie krążyły stale dwa wozy, które przewoziły bądź to gotowe ubrania, bądź materiały.

Szmul podał mu oba aparaty, po czym siadł obok Wawrzyńca, który ruszył wzdłuż ulicy Kołłątaja.

— No, jak tam. Co u „Czarnego"? Był to mój pseudonim.

— No cóż, pracuje.

— A jak mu się wiedzie?

— Nieszczególnie. Szmul pochylił głowę. Tak, jak nam wszystkim.

— A robicie coś?

Szmul milczał. Nie z obawy. Wiedział, że z Wawrzyńcem można i należy mówić otwarcie.

— Robi się, ale niewiele. Ledwośmy zaczęli, a już nam trzaśli dwóch ludzi. Opowiedział mu o zniknięciu obu braci C., których Wawrzyniec znał.

— Nie wiedziałem. Pokiwał głową. Nie wiedziałem. To byli wichrzyciele a ten „Filip" — był to pseudonim jednego z braci — niemało krwi nam napsuł na Środuli, ale na taką śmierć nie zasłużył. A wy, co tam robicie?

Szmul, milcząc, wskazał mu na skrzynki.

— Słuchamy, potem z „Czarnym" rozpowiadamy wśród ludzi.

Wawrzyniec się zdziwił.

— Wśród ludzi? A gdzież to on pracuje?

— Na Kołłątaja 45, u krawców.

Wawrzyniec poderwał się, ściągając jednocześnie lejce.

— A to ci cholera, popatrz, to ja przecież tam jeżdżę ze trzy albo cztery razy w tygodniu. I teraz tam jadę z tymi szmatami.

Mówiąc to, nie odwrócił nawet głowy. Było to jakieś napomknienie, wskazujące na to, co wiezie na platformie.

— Trzeba się będzie z nim zgadać, ale nie mogę się tam pętać, tyle, że zdejmą szmaty i załadują gotowe ubrania, i wio — jadę dalej. Powiedz mu, żeby mnie przypilnował.

Podał mu papierosa i pytał dalej:

— A inżyniera F. znasz? Ten mi nadokuczał, ale pies go drapał. Co z nim? Szmul nie znał inżyniera, ale obecnie z racji jego stanowiska znany był wszystkim.

— A, ten? To wielki dygnitarz — mówił o nim lekceważąco. — Jest komendantem milicji żydowskiej.

Szmul opowiedział mi wieczorem przebieg tej rozmowy i od następnego dnia począwszy wystawałem z żelazkiem w ręce koło okna, aby móc wypatrzyć przybywającego. Nasłuchiwałem i skoro rozległ się turkot kół, skoczyłem na dół. Furman skręcał papierosa stojąc odwrócony do

Przełożył **JULIAN ROGOZIŃSKI**

pim dworze*)

Usłyszawszy te słowa padłem wdzięcznością przejęty do kolan arcybiskupich. Serdecznie ściskałem te koślawe nogi, uważając się za człowieka, który w ten sposób szybko znacznego dorobi się majątku.

— Tak, miłe dziecię — ciągnął jego dostojność dyskurs wylewem uczuć moich przerwany — będę ci otwierał najskrytsze myśli swoje. Bardzo lubię mówić kazania. Pan Bóg błogosławi homiliom moim: kruszą one zatwardziałych grzeszników, wskazują im popełnione wszeteczeństwa i przygotowują do pokuty. Wielem już w pasterskiej swojej pracy dokonał pociechy: pewien skąpiec przerażony obrazami chciwości, jakiem przed nim roztoczył, otworzył skarbiec a pieniądze hojną ręką ubogim rozdał. Niejednego rozpustnika wygnałem z łoża rozkoszy, grzeszących pychą wywiodłem na puszczę, żony uwiedzione przez płochych kochanków w cnocie utwierdziłem. Te ustawiczne nawrócenia winny do dalszej pracy budzić we mnie ochotę. Przyznam się jednak do pewnej ułomności: oto po inną jeszcze sięgam nagrodę. Próżno chęć ową potępia sumienie moje. Pragnąłbym zasłynąć jako autor dzieł polerowanych i subtelnych. Sława złotoustego kaznodziei bardzo mnie nęci. Krytycy moje pisma za równie zręczne jak i mądre uważają. Chciałbym jednak uniknąć błędu wszystkich znakomitych autorów, którzy pisząc pod koniec życia, kiedy słabnie ich umysł, tracą wzięcie. Nie dopuszczę, aby ząb czasu naruszył moje imię pisarza.

— Dlatego, drogi Idzi Blasie, jednej rzeczy od gorliwości twojej wymagać będę: kiedy postrzeżesz, że moje pióro myszką trąci, kiedy z pism moich starcza nieporadność przezierać zacznie, mów mi prawdę w oczy. Nie ufam sobie w tej mierze, miłość własna mogłaby mnie zaślepić. Musisz więc czuwać nade mną z całą roztropnością. Poznałem twój rozum i będę na twoim polegał wyroku.

— Dzięki Bogu — odparłem — że wasza dostojność daleki jest jeszcze od starości. Umysł tak jak u waszej przewielebności niezwykły, długo jeszcze obecną świeżość zachowa, a mówiąc ściśle nigdy się nie zmieni. Jego przewielebność żywo mi przypominasz kardynała Ximenesa, którego geniusz zamiast z wiekiem słabnąć, sił nowych nabywał.

— Nie próbuj mi schlebiać, przyjacielu! — przerwał arcybiskup. — Wiem, że lada moment upaść mogę. Człowiek w moich leciech zaczyna chorować, a choroby ciała nadwątlają umysł. Powtarzam ci Idzi Blasie: masz mnie ostrzec skoro tylko postrzeżesz, iż słabnie moja głowa. Nie lękaj się szczerości: wszelkie ostrzeżenie za dowód miłości twojej poczytam. Prócz tego miej na widoku własny interes. Jeśli nieszczęsnym dla ciebie trafem dojdzie do mnie, że moje kazania pozbawione siły, zwykłego nie odnoszą skutku i że winienem komu innemu powierzyć owczarnię swoją, stracisz, wiedz o tym raz na zawsze, nie tylko przyjaźń moją, lecz i fortunę, którą ci przyrzekłem. Oto jakie owoce głupia powściągliwość wyda!

Arcybiskup zakończył dyskurs, chcąc usłyszeć teraz odpowiedź moją; obiecałem być uległym jego woli. Od tej chwili nie miał przede mną żadnych sekretów, stałem się faworytem książęcia kościoła. Cała służba oprócz Melchiora de la Rondy mało tego nie odchorowała z zazdrości. Trzeba było widzieć jak dworacy i masztelarze odnosili się do powiernika jego eminencji: nie wstydzili się najgorszych poniżeń, byle tylko zdobyć przychylność moją. Nie chciało mi się wierzyć, że byli Hiszpanami. Świadczyłem im różne przysługi nie dając się omanić obłudną grzecznością. Ksiądz arcybiskup zatroszczył się o nich na moją prośbę. Jednemu wyjednał dość znaczną godność wojskową, drugiego wysłał na wysoki urząd do Meksyku, przyjacielowi zaś mojemu, Melchiorowi dał lepsze wynagrodzenie. Przekonałem się, że prałat sam niezbyt z natury uczynny, rzadko prośbom odmawiał.

To jednak, com uzyskał dla pewnego księdza, na szczegółowy zasługuje opis.

Pewnego dnia kamerdyner arcybiskupa przyprowadził do mnie młodego jeszcze i pięknej postaci licencjata, nazwiskiem Ludwik Garcias i w takie ozwał się słowa:

— Mości Idzi Blasie, ten poczciwy ksiądz jest moim najlepszym przyjacielem. Był do niedawna jałmużnikiem u zakonnic. Złe języki nie oszczędziły jego cnoty. Oczerniono go przed arcybiskupem, który interdyktem nieboraka obłożywszy, uprzedził się do niego i na żadne wstawiennictwa nie zważa. Daremnie najznaczniejsze osoby w Granadzie przemawiały za nim. Nasz pan jest nieugięty.

— Mości panowie, rzekłem, bardzoście swoimi prośbami zagmatwali sprawę. Byłoby lepiej, żeby nikt nie stawał w obronie imci licencjata. Oddano mu w ten sposób niedźwiedzią przysługę. Znam arcybiskupa: prośby i przedkładania ludzi postronnych obciążają tylko w jego oczach winnego. Sam mi o tym niedawno mówił. „Im więcej, oświadczył, ksiądz który dopuścił się wykroczenia znajduje orędowników, co mnie nachodzą, tym większe wywołuje zgorszenie; a zatem wzmaga się i surowość moja".

— Przykra to rzecz — odparł kamerdyner. — Przyjaciel mój znalazłby się w okropnym położeniu, gdyby nie miał tak wprawnej ręki. Na szczęście prześlicznie pisać umie i tym talentem ratuje się z opresji.

Ciekaw byłem czy pismo owo pięknością nad moim górowało. Licencjat miał przy sobie zapisaną kartę i pokazał mi ją ochotnie. Zdumiałem się wielce kształtnością liter: tylko najwięksi kaligrafowie tak doskonałą mogliby pochwalić się sztuką. Kiedym się przyglądał owym pięknym literom, zaświtała mi pewna myśl. Poprosiłem księdza Ludwika, aby mi kartę zostawił mówiąc, że pewnie uda mi się coś zrobić dla niego.

— Nie będę się teraz nad tym rozwodził — jutro powiem więcej.

Licencjat, któremu kamerdyner wielce widać mój rozum zachwalił, wyszedł tak ukontentowany jakby już do kapłańskiego przywrócono go urzędu. Chciałem dopomóc mu na prawdę, słuchajcie więc jakiego chwyciłem się fortelu. Będąc sam z arcybiskupem pokazałem mu pismo licencjata. Mój pan nie ukrywał zachwytu. Korzystając tedy ze sposobnej chwili rzekłem:

— Skoro wasza dostojność nie chce drukować swoich homilii, chciałbym żeby przynajmniej były tak cudnie skopiowane.

— Kontent jestem z twojego pisma — odrzekł prałat — przyznam się jednak, że pragnąłbym widzieć któreś z dzieł swoich tą ręką przepisane.

— Niechże wasza dostojność — powiedziałem — raczy wyrazić życzenie. Znam tego genialnego kaligrafa, jest licencjatem. Tym więcej będzie zachwycony, jeśli waszej dostojności tę przysługę oddać potrafi, że popadł w niełaskę. Może łaskawość wasza uwolni go od tej zgryzoty i smutnego położenia.

Prałat nie omieszkał zapytać kim był ów licencjat.

— Nazywa się Ludwik Garcias i umiera ze smutku, że wielką waszej przewielebności ściągnął na siebie nieprzychylność.

— Jeśli się nie mylę — przerwał mi arcybiskup — ów Garcias był jałmużnikiem w żeńskim klasztorze. Musiał się poddać karom kościelnym i pamiętam nawet co mu zarzucano. Nie był nazbyt obyczajnym kapłanem.

— Wasza wielmożność, rzekłem, nie zamierzam go ekskuzować, lecz ten ksiądz ma wielu wrogów. Utrzymuje, że ludzie, którzy pisali o nim memoriały bardziej mu chcieli zaszkodzić, aniżeli przedstawić prawdę.

— To być może — odparł arcybiskup — wielu jest na świecie złośliwych oszczerców. Zresztą choćby i rzeczywiście dopuścił się wykroczenia, pewnie się już poprawił. Każdemu grzesznikowi winniśmy okazywać miłosierdzie. Przyprowadź mi tego licencjata, a zdejmę z niego interdykt.

Oto jak najsurowsi nawet ludzie odstępują od niezłomnych zasad, jeśli w grę wchodzi ich własny interes: arcybiskup ponad dobro kościoła piękny charakter pisma przekładał. Tam gdzie nic nie zyskali najpotężniejsi choćby orędownicy, próżność autorska zwyciężyła. Pobiegłem z nowiną do kamerdynera, który zaraz licencjatowi ją zaniósł. Ów ksiądz spotkawszy mnie następnego dnia, rozpłynął się w podziękowaniach i wieczystą poprzysiągł wdzięczność. Wprowadziłem go do monsignora, który strofowawszy łagodnie winnego dał mu homilię do skopiowania. Garcias wywiązał się z zadania tak pięknie, że nie tylko do łask został przywrócony, ale bogate probostwo w Gabii, miasteczku opodal Granady leżącym, otrzymał. Widać z tego, że nawet niecnota księżom korzyści przynosi.

3.

ARCYBISKUP WPADA W APOPLEKSJĘ. O KŁOPOTACH IDZIEGO BLASA I O TYM WYBORNĄ JAK STRACIŁ KONDYCJĘ.

Kiedym tak bliźnim najróżniejsze świadczył dobrodziejstwa, don Fernand de Leyva gotował się do wyjazdu z Granady. Odwiedziłem tego pana, aby go pożegnać i raz jeszcze za wyborne miejsce, które mi wynalazł, podziękować. Takiem po sobie pokazywał ukontentowanie, że don Fernand powiedział do mnie:

— Cieszę się Idzi Blasie, iżeś się tak do mojego wuja, arcybiskupa, przywiązał.

— Miłuję znakomitego prałata jak ojca — odparłem. — Nie tylko wielce uczonym jest panem, ale świadczy mi łaski, za które do końca świata wypłacić mu nie zdołam. Jedyne to dla mnie po utracie don Alfonsa i don Cezara pocieszenie.

— Jestem pewien — oświadczył don Fernand — że i oni nie mogą cię odżałować. Może jednak nie zawsze będzie trwało to rozstanie i szczęśliwe połączą was losy.

Rozczuliłem się wielce, usłyszawszy te słowa. Westchnąłem ciężko albowiem don Alfonsa kochałem szczerze i porzuciwszy biskupa wróciłbym zaraz do zamku Leyvów, byle tylko usunięto zawadę, przed którą ustąpić musiałem. Widząc owe wzruszenie don Fernand uściskał mnie serdecznie i oświadczył, że cała jego familia będzie zawsze troszczyć się o mnie.

W dwa miesiące po wyjeździe owego kawalera, kiedym największych łask arcybiskupich dostępował, wielki postrach padł na dwór książęcia kościoła; jego przewielebność rażony został apopleksją. Kurowano go tak skutecznie i przepisano tak dobre lekarstwa, że po kilku dniach wyzdrowiał. Jednak umysł dostojnika srodze ucierpiał na tym. Postrzegłem to zaraz, kiedy nową homilię komponował. Nie było jeszcze pomiędzy tym kazaniem a dawniejszymi tak wielkiej różnicy, abym mógł sądzić, że mówca zaczął się starzeć. Chcąc się upewnić czekałem następnej homilii. I ta właśnie utwierdziła mnie w przekonaniu! Zacny prałat bądź nazbyt wzniośle, bądź nazbyt podle mówił. Był to dyskurs bezładny i rozwiekły zdziadziałego proboszcza, słowem kapucynada.

Nie ja jeden zwróciłem na to uwagę. Większość słuchaczów, która występy mojego retora pilnie śledziła, powiadała między sobą:

„Trąci apopleksją to kazanie".

Nuże więc znawco homilii, pomyślałem sobie, przygotuj się do spełnienia swoich powinności. Monsignor na starość głupieje, winieneś go zatem, jako powiernik, przestrzec. Inaczej któryś z przyjaciół arcybiskupa ośmieli się zrobić to za ciebie. Wiesz czym ci to grozi; dobrodziej albo skreśli cię z testamentu, albo nie lepszy spadek niż po kanoniku Sedillo otrzymasz.

Zanim to uczyniłem musiałem dobrze się zastanowić. Delikatna to sprawa przestróg książętom kościoła udzielać. Obawiałem się dotknąć rozmiłowanego w swoich dziełach autora. Pamiętałem jednak, że prałat surowo mi nakazał, abym w potrzebie o wszelkich go uprzedził potknięciach. Mniemałem, że zręcznie mu o błędach jego powiedzieć potrafię i gorzką osłodzę pigułkę. Sądząc, że milczenie wielkie przyniesie mi straty, postanowiłem przemówić.

Jedno mnie tylko mocno kłopotało: nie wiedziałem jak zacząć. Na szczęście sam retor wybawił mnie z opresji, pytając co o nim powiadano w świecie i czy ostatnie kazanie słuchaczów ukontentowało. Odparłem, że wszyscy nadal homilia jego podziwiali, ostatnie jednak zatwardziałych serc skruszyć nie zdołało.

— Jakże to mój przyjacielu?, zdumiał się arcybiskup. — Czyżby w katedrze bywał jakiś Arystarch.

— Nie wasza eminencjo — odparłem — kazania złotoustego prałata krytyce nie podlegają i z wielkim nadal spotykają się aplauzem. Kazaliście mi jednak być szczerym, to też ośmielę się powiedzieć wam w sekrecie, że ostatni dyskurs był słabszym od innych. Czyżby wasza wielmożność nie podzielał mojego zdania?

Mój pan pobladł na te słowa i odparł z wymuszonym uśmiechem:

— Nie jest więc w twoim guście, mości Idzi Blasie, to dzieło.

— Tegom nie powiedział, wasza dostojność — rzekłem wielce skonfundowany. — Uważam je za wyborne, lubo innym ustępuje przemówieniom.

— Rozumiem! — zawołał arcybiskup — Wydaje ci się, że dowcip opuszcza mnie na starość, prawda? Mów bez ogródki. Uważasz, że winienem już zaniechać pisania.

— Nigdybym się nie ośmielił powiedzieć tego, gdybym nie otrzymał z ust waszej wielmożności wyraźnego rozkazu. Błagam pokornie nie miejcie mi za złe tego zuchwalstwa, panie!

— Broń mnie Boże — przerwał z pośpiechem monsignor — broń mnie Boże, abym miał cię łajać, moje dziecię. Byłbym bardzo niesprawiedliwy. Nie żywię urazy, żeś powiedział co myślisz. Nie masz tylko za grosz gustu! Zawiodłem się srodze na twoim jak się pokazało bardzo poślednim rozumie.

Lubo zbity z pantałyku, starałem się rzecz naprawić. Jakże jednak ułagodzić dotkniętego w miłości własnej autora, a zwłaszcza takiego, co do kadzideł kościelnych i innych przywykł?

— Nie mówmy o tym więcej, moje dziecię — ciągnął arcybiskup. — Za młody jesteś, abyś umiał odróżnić złoto od szychu. Wiedz, żem jeszcze nigdy udatniejszej nie skomponował homilii a ty ją tak spostponowałeś. Mój dowcip, Bogu dzięki, nie poniósł jeszcze żadnego uszczerbku. Nauczyłeś mnie tylko, żebym wybierał powierników zdolniejszych do wyrokowania od ciebie. Idź teraz, ciągnął, wypychając mnie za drzwi, do mojego skarbnika, który wyliczy sto dukatów i niechże cię tak piękną opatrzonego sumą Pan Bóg prowadzi. Żegnaj mi panie Idzi Blasie! Wszelkiej pomyślności i lepszego gustu życzę!

KANDYD

W dniu święta pokoju

Przypominam sobie pewien artykuł senatora Vandenberga ogłoszony w prasie amerykańskiej: „Przypuśćmy na chwilę — pisał amerykański multimilioner — że ktoś opatentuje nagle wynalazek atomowej lokomotywy, która zużywa za kilka dolarów energii atomowej dla przebycia przestrzeni między Nowym Jorkiem i Waszyngtonem. Wszystkie towarzystwa kolejowe i węglowe stanęłyby u progu katastrofy, wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe, które inwestowały kapitał w kolejnictwie, ogłosiłyby bankructwo i mielibyśmy w rezultacie ogólny chaos finansowy". Senator Vandenberg nie owija sprawy w bawełnę. Dla niego i jemu podobnych zysk jest jedynym i ostatecznym miernikiem dziejów. Zysk reguluje i kieruje rozwojem życia społecznego, rozwojem techniki, nauki, sztuki. Zysk decyduje w ustroju kapitalistycznym jak długo mają trwać przerwy między wojnami, które są życiodajnym elementem imperializmu, podobnie jak powietrze dla człowieka.

Vandenberg nie jest moim ulubionym autorem. Wolałbym, wyznaję, cytować Szekspira, Balzaka czy też Tołstoja. Niestety, żyjemy w czasach, kiedy to — mówiąc słowami Heinego — „obok każdego żłobu, w którym rodzą się — niby Zbawiciel — światobórcze idee, stoi zwykle wół i spokojnie żre siano". Vandenbergowie i spokrewnieni z nim podżegacze wojenni roszczą sobie pretensje do wpływania na losy ludzkie. Żyjemy w czasach, w których zbrodniarze podnieśli przemoc do godności prawa.

Przestępcy międzynarodowego kapitału zdają sobie doskonale sprawę z tego, że narody pragną pokoju. Nie można prowadzić wojny tylko przy pomocy bomb atomowych i gazów trujących. Wojny wygrywają ludzie, miliony żołnierzy, którzy pochodzą z ludu, z chłopów i robotników. A ci nie mają bynajmniej zamiaru ginąć dla powiększenia pakietu akcji wielkich bankierów i przemysłowców.

U ludzi, którzy po dwóch wojnach światowych myślą znowu o przygotowaniu trzeciej, nie można liczyć na moralne skrupuły. Ich zbrodniczej akcji nie powstrzyma apel do sumienia, lecz obawa przed zdecydowaną wolą i postawą pokojową mas ludowych całego świata. Ta wola przyobleka się dziś w każdym kraju w potężny kształt organizacyjny, groźny dla awanturników wojennych. Ruch pokojowy jest już dzisiaj nie tylko manifestacją i wyrazem dobrej woli, lecz także realną siłą, armią pokoju, rekrutującą się z setek milionów ludzi, którzy we wszystkich krajach tworzą niezwyciężony front antywojenny.

Kongres Pokoju, który odbył się w sierpniu 1948 roku we Wrocławiu, spotkał się z ironicznym lekceważeniem burżuazyjnej prasy zachodniej. Obrady krajowych Komitetów Pokoju we wszystkich państwach, Kongresy Paryski i Nowojorski zachwiały beztroską pewność siebie międzynarodowej reakcji. Ruszyła groźna rzeka oburzenia ludowego, której nurtu nie powstrzymają szantaże i knowania wojenne. Wezbrana rzeka międzynarodowego ruchu pokojowego znosi po drodze przeszkody hamujące jej swobodny i niepowstrzymany bieg.

Polska Ludowa jest jednym z pierwszych krajów, które podjęły ofensywę pokoju. Pierwsze uderzenie kilofa górnika śląskiego, pierwszy dom odbudowany w zniszczonej Warszawie, pierwszy ruch przędzarki łódzkiej, pierwsze pole zorane na Ziemiach Odzyskanych — zgłosiły nasz udział do obozu pokoju i postępu. Chcemy tworzyć i pracować, pokój jest nam potrzebny, wojna jest naszym wrogiem. Walczymy o pokój, gdyż chcemy wznieść z gruzów nowy dom i zbudować socjalizm.

Kandyd

---

mnie tyłem, ale już zdala spostrzegłem, że to nie Wawrzyniec. Przybył dopiero kilka dni później, ale nasza rozmowa była krótka. Przede wszystkim ostrzegłem go przed inżynierem, który go poszukuje, pragnąc od niego pomocy.

— Jakiej pomocy?

— Chce wiać, ale lepiej nie mów z nim.

Zapytałem go, czy mu potrzebne są komunikaty.

— Chłopie, chłopie, straciłeś rozum, czy co? Pewnie, że potrzebne, tylko dokładne. A, słuchaj, a możebyście je przepisywali na maszynie w kilku sztukach, bo maszyn nie mamy.

Rozmowa nasza składała się ze strzępków. Dźwigałem towar, inaczej nie mógłbym długo z nim wystawać, i ilekroć wracałem po nową pakę, zamienialiśmy kilka słów. Nie mogło to trwać długo, by nie zwrócić niczyjej uwagi. Dźwigających było wielu.

Dowiedziałem się, że są kontakty, partia, Polska Partia Robotnicza, przychodzi literatura, gazetki, w okręgu szykują gazetkę na listopad. Zbliża się rocznica Rewolucji. „Może coś napiszesz?". Innym razem przywiózł trochę literatury. Dowiedziałem się trochę szczegółów o znajomych, o kurierach. Przyjeżdżających z Warszawy nie znałem, z Krakowa dojeżdżał do Zagłębia Roman Śliwa.

— A możebyście i tu założyli koło?

Rozejrzał się po podwórzu, powiódł okiem po czterech mrocznych oficynach, po oknach, za którymi ślęczeli skazańcy — jak długo mieli jeszcze tu ślęczeć w oczekiwaniu wykonania wyroku?

Zapytałem go:

— A z innymi naszymi ludźmi masz jakieś kontakty?

W innym warsztacie znał dwóch towarzyszy, wymienił mi ich imiona: Pinie i Josek. Nazwisk nie znał. Nie wiedział, że i ja ich znałem: dwaj bracia Lubling.

Powoli zarysowywał się plan działania. Umówiłem się z nim, że ilekroć przyjedzie, podrzucę mu najnowsze komunikaty. Nalegał, aby znaleźć jakieś miejsce zebrań.

— Wiesz, mówił, gdzieś na granicy getta, żebym mógł do was wpaść.

Zacząłem od poszukiwania maszyny do pisania, bo to zadanie było łatwiejsze. W prywatnych mieszkaniach nie było wprawdzie żadnej, oddano wszystkie wówczas, gdy nakazano zwrot aparatów radiowych, fotograficznych i lornetek. Owszem, były maszyny, ale w biurach Rady: znaczyło to wpaść w paszczę potwora. Były również w biurach naszych warsztatów i wówczas pomyślałem o tej urzędniczce, która mnie rejestrowała swego czasu, i przypomniałem sobie jej rozmowę pełną aluzji i napomknień. Któregoś dnia wszedłem do biura, ale zanim zdołałem zamknąć drzwi, zapytała:

— Czy pan szuka tutaj komendanta milicji? Może go pan tutaj nie szukać.

Zapamiętała dobrze wizytę inżyniera F., który ze mną rozmawiał w jej pokoju po uprzednim wyproszeniu jej za drzwi. Aluzja była wyraźna i zawahałem się, czy mam z nią w ogóle rozmawiać.

— Nie, proszę pani, nie szukam komendanta. To on szuka mnie. Chciałbym z panią porozmawiać.

Była młodziutka, nieładna, rudowłosa. Ludzie mojego pokolenia nie mogli jej znać. To było niemal dziecko. Nazywała się Róża Lustig.

Powiedziałem jej, że napisałem coś, co chciałbym przepisać na maszynie. Nie powtórzyłem jej powiedzenia: napisałem coś dla ludzi. Trzeba było zaczekać na jej reakcję. Podałem jej wąską kartkę papieru zawierającą komunikaty z poprzedniego dnia. Rzuciła okiem na rękopis, twarz jej stała się surowa — wiecie tak, jak surowa się staje twarz młodych ludzi, o których sądzicie, że nie potrafią ocenić powagi sytuacji, i nagle w oczach, w znieruchomieniu ust, w sposobie ściągania brwi widzicie, że macie przed sobą właściwie dojrzałego człowieka. Niczego nie zdołałem wyczytać z surowości jej oczu, które zwróciła na mnie. Milczenie, wieloznaczące milczenie trwało niezmiernie długo. Co mi to dziecko odpowie?

— Ja to panu przepiszę.

Odrzekłem spokojnie:

— Niech pani pisze w kilku egzemplarzach.

Ustaliliśmy z braćmi Lubling, że będziemy Szmula odwiedzali na zmianę, aby częstymi wizytami jednej i tej samej osoby nie zwracać zbytniej uwagi. Raz notował starszy z braci, raz młodszy, innym znów razem ja. Wszystkie rękopisy braci musiałem przepisywać od nowa, aby Róża nie zorientowała się, że różni ludzie notują. Wręczałem jej te kartki, które przepisywała, i trzy a czasami cztery razy w tygodniu podawałem je Wawrzyńcowi, gdy zajeżdżał na nasze podwórze. Inne odpisy krążyły w warsztacie i w getcie.

Gorzej było z miejscem spotkań. Nasze getto nie było okrążone murem. Było rozległe, na granicy pól i kamieniołomów, zamieszkałe przez ludność robotniczą, o której mawiało się, że mieszka na peryferiach. Mur był tu niepotrzebny. Wychodzący z Dzielnicy wychodził nagle w szczere pole i już z oddali był dostrzegany przez posterunki Schupo, nieliczne zresztą. Przez miasto nie sposób było się przedostać. Stacja zdala widoczna była niedostępna, bo tam właśnie straże były najliczniejsze. Natomiast ludność polska mogła wchodzić do Dzielnicy, pomiędzy jej uliczki, gdzie po części nawet pozostała.

Byli to jacyś wyrobnicy posiadacze biednych poletek, właściciele jednej krowy, lub paru kóz. To te bydlątka sprawiły, że ich Niemcy zostawili. W mieście, dokąd przegnano dotychczasowych mieszkańców Dzielnicy, nie było ani chlewów ani obór ani paszy: Niemcom było potrzebne mleko a tutaj łączki były blisko.

Wawrzyniec mógł się do nas dostać, ale jako obcy zwróciłby na siebie uwagę nie Żydów, — ci go nie znali, — ale właśnie owych dawniejszych mieszkańców, którzy nie znali go również. Niechybnie zaczęliby dochodzić, a kto, a poco, a do kogo, a z jakim interesem. Otóż właśnie to: z jakim interesem, bowiem wszyscy niemal rzucili się na handel. Potrzeby getta były olbrzymie, dostarczali do niego chleb, mąkę, tłuszcz, jakieś kasze. Spojrzeliby na niego jak na konkurenta, byli zdeprawowani, wyzuci z wszelkiego człowieczeństwa, czyhający na łatwe zarobki, zdolni do wszystkiego. Czy mógł w tych warunkach odważyć się do nas przychodzić?

Na skraju getta, od tej mianowicie strony, gdzie ulica Koszarowa skręca do dworca kolejowego, mieścił się zakład fotograficzny „Studio" przeniesiony tutaj ze śródmieścia. Właścicielem zakładu był Żyd, niejaki I. H., pilnie potrzebny Niemcom. Produkował zdjęcia do naszych kennkart, wszyscy posiadaliśmy jakieś ausweisy, bądź osobiste, bądź z miejsca pracy, zaopatrzone w fotografię właściciela: ausweisy nosiły przy sobie dzieci od lat sześciu... Z tego zakładu korzystali również Niemcy, Polacy, Żydzi w pierwszym rzędzie. Zwróciłem uwagę na właściciela, którego znałem sprzed wojny, ale przelotnie, mieszkaliśmy w pobliżu, na ulicy Sączewskiego, zamienialiśmy niekiedy kilka słów. Powiedziałem o tym braciom Lubling: okazało się, że znają go bliżej. „To bardzo porządny człowiek, strasznie pyskuje na Radę". Zacząłem od wręczania mu komunikatów: okazał żywe zainteresowanie i prosił o stałą obsługę. Po jakimś czasie, ot tak sobie, niechcący, powiedziałem, że się umówiłem z jednym znajomym spoza getta, z którym chciałbym tutaj porozmawiać, czy nie ma nic przeciwko temu?

— Skądże? Chyba, że macie jakieś szmuglerskie interesy.

Powiedział to pół żartem, ponieważ wiedział, że jestem daleki od interesów tego rodzaju. Znał mnie a raczej mógł się domyśleć, o jakie spotkanie mi chodzi. Pierwsza rozmowa z Wawrzyńcem odbyła się w jego obecności. Mówiliśmy o sprawach pozornie obojętnych i gdy Wawrzyniec w pewnej chwili pokazał mi, niby od niechcenia, obligacje Pożyczki Narodowej, które właśnie był otrzymał, zaproponował mu większą kwotę za nabycie tych obligacji. Przyjęliśmy spokojnie tę formę jego poparcia. Wawrzyniec wpadał do niego kilkakrotnie, już beze mnie, a I. H. zapytany o zdanie, co sądzi o tym człowieku (przybrał sobie pseudonim „Piaski"), odpowiedział:

— Tacy są nam potrzebni, zarówno tu — ręką wskazał kierunek getta — jak i tam, w mieście.

Mówiłby z nim chętnie, a gdy zapytał mnie, czy nie byłoby dobrze pomyśleć o próbie zorganizowania jakiejś grupy, odrzekłem, że właśnie myślę nad tym.

— Przystąpiłby pan do jakiejś organizacji?

— Natychmiast.

Ta forma „przystąpienia" może wam się wydawać zbyt łatwa. To tylko w mojej relacji wygląda ona w ten sposób. W rzeczywistości rozmowy na ów temat były jeszcze znacznie łatwiejsze. Wołanie o podjęcie czynu było powszechne: wszyscy widzieliśmy, że zmierzamy szybko ku zagładzie. Selekcje powtarzały się co kilka tygodni i gdy jedni popadali w rozpacz i stan całkowitego zwątpienia, inni, zwłaszcza młodzi, parli jawnie do boju. Były na to dowody, ale nie pora teraz o tym mi mówić; wystarczy, jeśli wam wspomnę o istnieniu organizacji bojowej młodzieży, o młodym Blumenfruchcie, Graubarcie i innych zamordowanych w tym czasie przez gestapo. Młodzi mieli broń.

W czasie zebrań fotograf zamykał zakład i podobnie jak kiedyś Szmul, wracał do nas tylnym wejściem. Zazwyczaj referował Wawrzyniec, omawiał sytuację polityczną, nie wnosząc zresztą niczego nowego: to, co nas interesowało — sytuacja na froncie — było nam równie dobrze wiadome, jak jemu. Mieliśmy wiadomości z pierwszego źródła — z radioodbiorników będących w naprawie u Szmula. Więcej czasu zajęło omówienie założeń ideowych Polskiej Partii Robotniczej. Były tam rzeczy nowe i zaskakujące, zaskakujące nas, ale nie tych, którzy posiadali jaką taką swobodę ruchów i mogli rozmawiać z ludźmi, poruszać się, działać. Wizja nowej Polski stanęła przed nami tak jasno, tak wyraziście, jakby jej od nas nie dzieliły żadne mury, obozy, komory gazowe, fronty i nasza bliska śmierć. Nie zawsze było dosyć czasu na prowadzenie dyskusji. Wawrzyniec nie mógł zbyt późno pozostawać w pobliżu getta, my musieliśmy wracać przed godziną policyjną.

Fotograf I. H. okazał się niezwykłym towarzyszem. Jego lokal był nie tylko miejscem zebrań, ale również składem literatury. Omijaliśmy zresztą to miejsce, aby nie zwracać na nie uwagi: korzystaliśmy zeń jedynie w godzinach zebrań. Nasze zdjęcia I. H. przechowywał w odrębnych kopertach, aby w razie czegoś upozorować nasze przyjście koniecznością odebrania przygotowanych właśnie fotografii. Wawrzyniec również miał swoje zdjęcia, przychodził częściej, zostawiał jakieś polecenia, gazetki, broszury. Od I. H., który przeżył wojnę, wiem, że zawiązała się między nimi przyjaźń.

W tym to czasie na murach Zagłębia zaczęły pojawiać się ulotki. Przeważnie zawierały komunikaty Moskwy, wiadomości Związku Patriotów Polskich, odezwy, plakaty Polskiej Partii Robotniczej. Komunikaty z frontu pochodziły z biura naszego warsztatu. Było po Stalingradzie!

Stanisław Wygodzki

Dokończenie w następnym numerze.

HENRYK VOGLER

U młodych poetów

I.

Zbiór poezji Andrzeja Brauna *) stanowi jakby po trochu mały przewodnik po splątanych drogach najmłodszej naszej poezji. Pokazuje tę poezję nie tylko w narastaniu coraz to nowych — nanoszonych przez historię — tematów i treści. Pokazuje ją również w rozwoju i poszukiwaniu systemów właściwych dla wyrażenia tych treści. Zarazem ukazuje w sposób niemal przykładowy jak t.zw. treść wyzwala t.zw. formę, jak te dwa elementy (które zbyt często jeszcze rozdziela się i przeciwstawia) zrastają się ze sobą tworząc jedność artystyczną utworu.

Wiersze Brauna pisane w latach 1944-1947 zawierają niejako poetyckie dzieje tego okresu. Od obrazów z czasów walk partyzanckich, poprzez pierwsze dni pokoju, poprzez przekroje nowego, jeszcze nieuporządkowanego, jeszcze zmagającego się ze starym życia, aż do wprowadzenia w świat człowieka socjalistycznej pracy i aż do końcowej deklaracji poety w wierszu pod tyt. „Wyznanie komunisty" — biegnie linia przemian tematycznych, które są zarazem linią niezmiernie ostro i wyraziście zarysowanych przemian wyrazu artystycznego. Trudno byłoby wskazać na jeszcze jeden podobny wypadek występowania na przestrzeni małego tomiku tak z gruntu różnych rysów tego samego oblicza poetyckiego. Tym przejrzyściej przeto na owym przykładzie śledzić można wyżej wzmiankowaną „linię przemian" i tym łatwiej wyciągnąć na tej podstawie ogólniejsze wnioski.

Pierwsza grupa wierszy — o tematyce niemal wyłącznie partyzanckiej — posiada zupełnie określony kształt poetycki. Są to wiersze jak gdyby z gruba ciosane, szorstkie, męskie, wybijane i ucinane jak krok marszowy, oczyszczone do cna z nalotu mniej lub więcej romantycznej stylizacji, nie pozbawione nawet akcentów brutalnej, naturalistycznej przedmiotowości. (Początek pierwszego i tytułowego wiersza: „Była noc. Kożuch. Pot barani. Zatęchła skóra. Zmarzłe pchły"). Wiersze zaciekawiają tym , co można, by nazwać „b e z i n t e r e s o w n o ś c i ą l i r y c z n ą" t.zn. szukaniem dróg oddziaływania wzruszeniowego nie w celu przekazywania jakichś ogólnych refleksji, wniosków poetyckich czy emocjonalnych wstrząsów — ale po prostu możliwie obiektywnym i obojętnym referowaniem stanu rzeczy. Jest to jednak zbyt mało jeszcze dla stworzenia jednolitych całostek artystycznych. Toteż przeważna część wierszy w owej grupie jest rzucona raczej jako szkic poetycki, niewykończony i nieoszlifowany, niepozbawiony nawet nieczystości i potknięć językowych („... Posuwać się bezdźwięcznie, nie była rzecz łatwa"). Rodzajowo wywodzą się one w dużej mierze z poezji Skamandrytów, z jej drobnym realizmem codzienności, z jej leciutkim cynizmem, ukrywających skrzętnie na spodzie wcale niezły ładunek patosu. Ale Braun to skamandryta — w partyzantce. Uregulowane wymiary dawnego mieszczańskiego, pokojowego świata już mu się zaczynają rozchwiewać. Wewnętrzna jednolitość materii poetyckiej ulega rozbiciu, wdziera się w nią już niepokój półsymboli, półcieni, półsnu, rym staje się wyrafinowany i kunsztowny. Oto obraz „kolegi-partyzanta poległego w czasie rwania wisien".

Wrośnięta w liście postać czarna,
śmiech jej wyciekał kątem ust,
a w trawie, niby złote ziarna,
strumień pocisków, który ustał.

I długo jeszcze mroku fiolet
usztywniał czas, co wiecznie śni się.
Wydarto z ręki im pistolet,
twarz jak rozbity słoik wisien.

Jeżeli dodamy do tego ślady poezji Broniewskiego widoczne w zuchwałej rytmice niektórych wierszy czy w takich zwrotach jak „Łeb oczadził sen taki mocny Smugi godzin już nie policzysz", żywo przypominających ustępy z słynnego „Magnitorska czyli rozmowy z Janem" („Siedzę, siedzę, liczę godziny, Jan się zdrzemnął o ścianę wsparty") — wówczas otrzymamy styl, który gotowa była przyswoić sobie młoda poezja polska owych lat walki.

Lecz oto następuje zasadnicza przemiana. Umilkł szczęk broni i z zamętu wojennego wyłaniają się kształty nowe. Drobny realizm czysto przedmiotowej obserwacji nie jest przygotowany na ogarnięcie całego ogromu zjawisk. Trzeba szukać nowego wyrazu, aby uchwycić rytm dokonywujących się przeobrażeń. Cóż, kiedy poeta nie znajduje oparcia w świadomie zorganizowanej woli kształtującej. Poezja Brauna przeskakuje dobrych kilka ogniw w łańcuchu rozwojowym, przeskakuje wszystkie dotychczasowe rygory zwięzłej liryki pojęciowej i racjonalistycznej i znalazłszy się nagle wobec świata celowej budowy i socjalistycznego ładu staje nieco zdezorientowana, wyławiając z jego obrazu tylko szereg plam barwnych, dźwiękowych, wrażeniowych, olśniewający ciąg skojarzeń związanych wyłącznie naskórkową, niemal „pointylistyczną" techniką.

Wiersze Brauna w tej drugiej grupie strzelają niby — wysadzone wewnętrznym ciśnieniem — korki z butelek poezji, która wylewa się niepowstrzymaną strugą. Trzeba przyznać, że wszystko znaleźć można w tym czarodziejskim płynie: żonę Lota i magiczną lampę Alladyna, nierządną dziewczynę i wikarego grającego na fisharmonii, Odysseusza i Iliadę, Shylocka i Prospera, Marksa i Engelsa, Ku-Klux-Klan i Inkwizycję, kawę z expressu w Katowicach i miesiączkę kasjerki. Poezja ta przypomina odpustowe kramy obwieszone rzędami różnorakich i różnokolorowych świecidełek (czasem trafi się i autentyczny kamień szlachetny) — które jarmarczni przekupnie zachwalają z zawodową biegłością. Nie ma tu wyboru ani eliminacji, w tym nieustannym toku wrażeń nie istnieje główny nurt poetycki, biegną tylko same marginesy i nawiasy, zachodzące piękne jedne na drugie. I w końcu rzekoma nowoczesność i świeżość wyrazu okazuje się doskonale znaną staroświecką impresyjnością. Natrafiamy tu i ówdzie na fragment, który dźwięczy dziwnie nam znaną melodią i układem:

O Chanaan kredowy, rozgrzany od [marzeń
Pod biustami balkonów tkwią czarno-[giełdziarze.
Kapelusz z żółtej słomy, cena cztery [marki,
kryształy, biżuteria śpiewna jak kanar-[ki...

Zastanawiamy się przez chwilę. Ależ tak. Przypominamy sobie:

Monastyry, haremy, wielbłądy i owce,
Ciemne twarze i róże, wersety Koranu,
Modlitwy muezzina, gwiżdżące parowce,
Bzy tureckie i czarni kupcy z Teheranu...

Toż to odżył Antoni Słonimski, stawiający z naturalistycznym sceptycyzmem znak równości pomiędzy najsprzeczniejszymi elementami rzeczywistości. Znamy już teraz genealogię tej poezji. Ustala ją zresztą z niemałą szczerością sam autor słowami:

Kraju mój, któryś przeprowadził zba-[wienne reformy
. . . . . .
...ja cię reklamuję metodą kramarza.

Na szczęście nie jest to ostatnia przemiana w poszukiwaniu współczesnego wyrazu poetyckiego. Nowa faza — narazie ledwie że dostrzegalna — zbiega się z zarysowującym się nowym spojrzeniem poety na rzeczywistość. Wyobraźnia jego przestaje powoli błądzić

....w oberżach, zajazdach i szynkach,
w organach, stalach, wieżach, hotelikach [miłych,
mansardach, lożach, salonach i gankach...

dostrzega już postacie górników i robotników jako budowniczych i bohaterów Nowej Polski. W związku z tym linia wiersza nie zamyka się już tylko w sztywnym klasycystycznym niemal wzorcu metrycznym o jednostajno-dekoracyjnej zawartości wewnętrznej — ale nabierać poczyna tu i ówdzie realistycznej swobody i giętkości, z żywym, dramatycznie zorganizowanym ruchem materii poetyckiej. Oto początek wiersza „Śmierć w słońcu":

W czwartek 21 lipca Achilles Nixos za-[pomniał imię (?) matki i dziewczyny
smutek i sytość wiarą pamięć
i głód i radość
Słońce osiągnęło wtedy swój najwyższy [poziom
morze pokryło plażę

Dramatyczne zarysowanie losu ludzkiego przy krańcowej wstrzemięźliwości językowej i czystości pojęciowego obrazowania — oto całkowicie nowoczesne elementy poetyckie. Są one jeszcze fragmentaryczne i niedostateczne, ale pozwalają z daleka dostrzegać zarysy poszukiwanego wyrazu poetyckiego.

II.

Najbardziej dodatnią cechą poezji Romana Bratnego *), wyróżniającą ją korzystnie z obrazu najmłodszej poezji polskiej — jest jej wyraźny plan wewnętrzny, zbyt często niedotrzymywany, ale nawet wówczas wyczuwalny i dostrzegalny. Odbywa się w niej istotny ruch poetycki, który czyni poszczególne całostki wierszowe filmami rozwijających się w czasie wydarzeń. W ekspozycji wiersza znajduje się już w zalążku przyszła jego całość, którą następnie kolejne ogniwa poetyckie potwierdzają i dopełniają. Wiersz staje się w ten sposób małym dramacikiem o bardzo intensywnym życiu wewnętrznym.

Spróbujmy dla przykładu wskazać na powyższe elementy w przypadkowo wybranym wierszu „Rozstanie" z tomiku „W karty z hsitorią". Wiersz ów na pewno nie należy do najlepszych w zbiorku, ale właśnie dlatego może stanowić wzór przeciętnego rozwiązywania niektórych problemów poetyckich przez Bratnego.

Na wstępie mamy opis sytuacji: ślepy skrzypek uliczny grający „smutną, wojenną melodię" — i inwokacja „to po was, polegli przyjaciele, pomnik".... Te trzy wstępne człony: ślepy skrzypek, polegli i pomnik — otrzymują w dalszym toku lirycznym rozwinięcie i dramatyczne przekształcenie i to trzema odmiennymi metodami. Ślepe oczy skrzypka znajdują kolejno przedłużenie w załzawionych oczach dziewczyny i oczach spoglądających za nią „żyjących przechodni". „Polegli" — trwają przez cały ciąg wiersza zamknięci w motywie fotografii rozstrzelanego kochanka dziewczyny, która to fotografia w końcu poemaciku pada bezsilnie na śnieg, niby sam ów poległy. Wreszcie temat „pomnika" rozwiązany zostaje jeszcze w inny sposób: wprowadzony w materię poetycką istnieje w niej tylko jako „miejsce po pomniku", jako przestrzeń powietrza, w której stał ongiś ów zwalony pomnik. Trzema różnymi drogami dążą trzy tematy do spotkania się w jednym i tym samym miejscu, które zwie się: grozą wojny.

Ten drobny przykład mówi jasno o istotnych właściwościach poezji Bratnego, jak również o jej odrębnym przekroju. W jej wnętrzu odbywa się ustawiczne krążenie czerwonych ciałek krwi poetyckiej, dokonywa się ruch obrotowy, zorganizowany — mimo wszystkich odchyleń — dokoła jednej idei, jak dokoła osi. Poezja Bratnego przełamuje w zasadzie statyczną opisowość, opartą na naturalistycznych konwencjach. Próbuje szukać własnych dróg ożywienia martwiejącego organizmu współczesnej młodej poezji.

Postarajmy się jednak wyjaśnić dlaczego mimo to, w ogólnej ocenie, nie można tej poezji uznać za całkowicie dojrzałą, dlaczego — co więcej — musi ona wywoływać głębokie i zasadnicze sprzeciwy. W planie wewnętrznym poezji Bratnego istnieje głęboka jednolitość. Ale elementy, które mają plan ten wypełnić i wykonać, są uczynione z podejrzanego materiału i gatunku, tak że na miejscu oczekiwanej mocnej całości — wyrasta nieraz usypisko gruzów poetyckich.

Takim elementem np. jest „kosmiczność" motywów stosowanych z upartym upodobaniem przez poetę. Świat poetycki Bratnego (szczególnie we wcześniejszych utworach) budowany bywa aż zbyt często ze słońc, księżyców, gwiazd, wichrów, planet, nocy, obłoków, nieb itp. Szczególnie „gwiazdy" są nieodłącznym rekwizytem jego wyobraźni. Jak zaborcza jest ta mitologia stylistyczna, jaka rozpiętość jej zasięgu wyobrażeniowego, niech dowodzą takie — spośród wielu — cytaty: „Gwiazdy wyżęte z melodii starych gramofonów / obwiesiły choinę nieba", „uchyl usta — niech zawieją gwiazdy / rozpuść włosy — niech rży noc (!)" lub „I gwiazdy ma upełnorolnić / Organizacja Narodów Zjednoczonych. / Nad głową ludzi świecić będą wolne, / nad ziemią z granic wywłaszczoną".

Wszystkie te „gwiazdy" i „księżyce", „ziemie" i „niebiosa" stanowią niejako remanenty romantycznej epoki literackiej i romantycznego obrazowania poetyckiego. Bratny zdaje się jakby uświadamiać sobie niejasno, iż nadużywanie takiego „literackiego planetarium" doprowadzić musi do odrealnienia materii jego poezji, czyniąc ją abstrakcyjną i pozbawioną treści. Na tę świadomość wskazuje np. fakt, że (zwłaszcza w drugim tomiku „15 batalionów") usiłuje niejako okiełznać swoją wizję przez ujęcie jej, tu i ówdzie, w ścisłe, nawet rachunkowe ramy. Owa cyfrowa dokładność motywów widoczna jest choćby w tytułach poszczególnych wierszy („15 batalionów", „Ostatni meldunek agenta E. 57", „16.30", „List zza 200 lat" i i.). Ale i tu cyfry mają u niego charakter po trochu „astronomiczny" („Mądrzejsza tysiąc nocy o miliardów płacz, / słuchaj: nas dwa miliardy. / Gwiazdo — teraz masz cztery miliardy ramion"). Działa tu coś jakby „magia liczb", a więc niewątpliwie źródła tych zjawisk są również romantyczno-mistyczne.

„Gwiazdy" i „księżyce" to nie jedyne rekwizyty z bardzo odległych epok literackich. Przypomnijmy sobie elementy, z których składała się całość analizowanego wyżej wiersza „Rozstanie": ślepy grajek uliczny, dziewczyna z fotografią ukochanego, łzy i prószący śnieg. Toż to już elementy pseudoromantyzmu, zbanalizowanego i strywializowanego do ostateczności w przeróżnych piosenkach kabaretowych i zeszytowych romansach. Tego rodzaju elementów jest w poezji Bratnego o wiele więcej, choć odnalezienie ich może przyjść z niejaką trudnością. Ukryte są bowiem wcale starannie w futerale bardzo nieraz skomplikowanych i dlatego jakoby nowoczesnych — metafor. Oto początek wiersza „Nadany z Paryża" („15 batalionów"):

Wargi rubinowe jadą na rowerach
złotych — ze słomki —
ku oazom mazagranu.
Na ulicy cytrynowe cyklistki płyną
falbanując kolanami koronki
nad metalem kolorowych pedałów.

Cóż oznaczają te „wargi rubinowe jadące na rowerach ze słomki", które w epoce „Zwrotnicy" musiałyby się wydać niesłychanie zuchwałe? Zapewne, po prostu widoczek ulicznej kawiarni paryskiej, gdzie fin-de-sieclowe panie popijają aperitif.

Ażeby — zwyczajnie i sentymentalnie — wybrać się na grób ukochanej i złożyć tam gałąź bzu — musi poeta:

Księżyc przerobić w rzewne rowerowe ramy,
złamać gałąź, a listki będą cyklistki...
(„Noc zwycięstwa")

Ten natarczywy ekspresjonizm, gdzie siła oddziaływania uczuciowego leży nie w nagromadzonym wewnątrz ładunku szczerego wzruszenia, ale w spiętrzeniu czysto zewnętrznych i barokowych środków wyrazu — to dalszy punkt, w którym plan poetycki Bratnego załamuje się. „Z pistoletem maszynowym na ramieniu duszy" — tym cytatem można by najdosadniej scharakteryzować istotę poetyckiego języka Bratnego. Na dnie jego leży nieodzowna, metafizyczna „dusza", tyle tylko, że zarzuciła „na ramię" nowoczesną broń maszynową.

Przyczyna wspomnianych błędów nie leży w niedowładzie wizji artystycznej, lecz przeciwnie — raczej w jej przeroście. Jest w obrazowaniu poetyckim Bratnego energia, jest egzaltacja i patos romantyczny. Jest jakaś kawaleryjska zawadiackość w tym niecierpliwym przeskakiwaniu przyjętych wymiarów poetyckich. Ale jakże łatwo potknąć się w tej szarży. Istotnie bardzo często natrafiamy na potknięcia w rodzaju chropowatości językowych i gramatycznych, niezgrabności stylistycznych (cudaczne inwersje, jak np. ta: „choć ciało mija jak skrzydła ruch, to zawsze świętość człowieka zwykłą, którego sina pręga oznacza, jaką hełm zostawia skroni, będziesz znał"). Nie ma w utworze poetyckim walorów ani braków tzw. formalnych „samych w sobie". Jedne i drugie są funkcją walorów wzgl. braków tzw. treści (i na odwrót). Istota poezji Romana Bratnego tłumaczy się najzupełniej jej ideową zawartością. Poezja ta chce być z założenia poezją polityczną. Bratny nie tylko nie unika aktualnej politycznej treści naszych czasów, ale świadomie tę treść czyni zasadniczym przedmiotem swej poezji, która — zgodnie z wolą autora — ma być poezją propagandową i publicystyczną. Nie ma też nieomal takiej aktualnej sprawy i takich wydarzeń we współczesnej historii narodu i Europy od lat okupacji, aż do pierwszego okresu po wyzwoleniu — które by nie znalazły poetyckiego odbicia w tych wierszach. Partyzantka w szeregach A. K., obozy jenieckie, powstanie warszawskie, emigracja i repatriacja, proces norymberski, odbudowa kraju, pogrom w Kielcach, terror reakcyjnego podziemia, porozumienie 9 partii robotniczych — wszystko to natychmiast notuje żywa i czujna wyobraźnia poety, ba, nie tylko notuje, ale i ocenia ze szczerze antyfaszystowskich pozycji. Bratny wiernie i z całym zapałem służy sprawie klasy robotniczej, budującej socjalizm, a zatem sprawiedliwą i szczęśliwą przyszłość swojej Ojczyzny. Idea Polski Ludowej jest osią, dokoła której krystalizują się zarysy przeważającej części jego utworów i owa oś jest ich najcenniejszą wartością.

Ale jeżeli napięcie uczucia u poety jest bardzo duże, to napięcie jego świadomości politycznej i klasowej mogłoby budzić pewne zastrzeżenia. Bratny — jak wskazywałaby na to struktura jego poezji — zdaje się reprezentować świadomość ideową tego odłamu młodej inteligencji „akowskiej", która do obozu Manifestu Lubelskiego weszła boczną furtką emocjonalną, nie zaś szeroko otwartą bramą naukowej myśli. Nie poddaje się tym samym w wątpliwość ideowej szczerości i gotowości tego odłamu, nie dyskwalifikuje się bynajmniej jego przedstawicieli jako „mniej wartościowej" kategorii bojowników obozu lewicy. Chodzi tu tylko o wskazanie przyczyn możliwych błędów ideologicznych, błędów w ocenach politycznych, błędów, które równolegle i w ścisłym związku z błędami w artystycznym ukształtowaniu utworu poetyckiego załamują go i dezorganizują.

Takie właśnie błędy noszą w sobie wiersze Bratnego. Przy zewnętrznej skrótowości i „nowoczesności" form wyrazu — wewnątrz kryją się jeszcze pokłady staroświeckiego sentymentu, ułański romantyzm, rewolucyjność dekoracyjna, która często grymas lub rekwizyt utożsamia z istotnym wzruszeniem lub istotnym działaniem. Stąd np. błędna ocena okupacyjnej roli Armii Krajowej i Armii Ludowej zawarta w wierszach pierwszego tomiku („W karty z historią"), stawianie ich działalności i ich znaczenia w wojennej historii narodu na jednej równej płaszczyźnie. Poezja Bratnego reaguje przede wszystkim na bohaterski i piękny gest, dlatego w obu tych formacjach widzi tylko ich jednakowy żołnierski czyn, nie widząc odmiennej politycznej i klasowej jego treści, nie różniczkując i nie odmierzając rozmaitych sił społecznych, których nosicielami była każda z tych Armii.

Toteż — mimo pozorów — nie można jeszcze tej poezji nadać zaszczytnego miana „poezji politycznej". Cegiełki, z których Bratny buduje swój dom poetycki, kruszą się jeszcze w palcach.

Henryk Vogler

*) Andrzej Braun — Szramy — Poezje — Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" — Warszawa 1948.

*) Roman Bratny — W karty z historią — 1948 „Czytelnik". Roman Bratny — 15 batalionów — „Książka" Warszawa 1948.

Turgieniew po polsku

(Dokończenie ze str. 3)

I tak z wycieczki w krainę niebezpiecznych myśli, szkodliwego „nihilizmu", powraca do ojczystego gniazda młody Arkadiusz Kirsanow, bohater powieści „Ojcowie i dzieci". Wszystko, o czym marzył jego przyjaciel rewolucjonista, wydaje mu się nieosiągalną utopią. Konkretnym życiem i konkretnym działaniem jest dla niego tylko życie rodzinne i walka o utrzymanie w rękach swych ziemi, co staje się coraz trudniejsze wobec zmiany form produkcji.

Wreszcie bohater powieści „Dym" (druk. 1867), zawiedziony w swych marzeniach o szczęściu, znajduje spokój u boku dawnej narzeczonej, która jest dla włościan serdeczną opiekunką, biegłą lekarką i mądrą nauczycielką. Jej dwór stanowi oazę szczęścia i spokoju, niezakłóconego przez żadne konflikty społeczne, których nie ma tam, gdzie mądry ziemianin spełnia należycie swoje obowiązki wobec włościan.

„RAZNOCZYNIEC".

Jest jednak w twórczości Turgieniewa postać, która wyszła poza atmosferę i problematykę liberalnego ziemiaństwa. To bohater powieści „Ojcowie i dzieci" — Bazarow. Utwór ten, pozycja światowej sławy, dostarczył symbolicznego ujęcia istotnemu wówczas konfliktowi pokoleń. Konflikt pokazany w tej powieści jest tylko pozornie konfliktem między pokoleniami, w rzeczywistości bowiem jest to pierwszy moment starcia się między dwiema formacjami społecznymi.

W znane nam już środowisko ziemiaństwa wchodzi Bazarow, przedstawiciel inteligencji zawodowej (raznoczynnej). Jego pogarda dla form towarzyskich i zwyczajów obowiązujących we dworze Kirsanowów, jego swoisty sposób bycia, prawdomówność graniczące z brakiem uprzejmości, jest dowodem jego intelektualnej i społecznej niezależności, pewnej postawy przedstawiciela klasy młodej, patrzącej z pogardą na przeżytki przeszłości. Z nieomylną trafnością wykazuje on, że tzw. ideały ziemian — są tylko zbiorem frazesów, kryjących egoizm klasowy, czepianie się starych form.

Ale tej pięknej postaci nie pozwolił Turgieniew zatriumfować — Bazarew ginie pokonany przez nieszczęśliwą miłość. Bazarow zaprzeczał gorąco istnieniu tego uczucia, kiedy jednak poznał je i to poznał w tak nieszczęśliwych okolicznościach, nie załamał się. Aktem odwagi jego jest zerwanie ze środowiskiem ziemiańskim, w które wprowadził go młody Kirsanow, aktem odwagi także jest jego niemal samobójcza śmierć. Zachował on godność intelektualną człowieka, umiejącego myśleć niezależnie i zdolnego do przyjęcia wszelkich konsekwencji swojego myślenia. Z pełną świadomością patrzy, jak rozpadają się w nim tkanki, stanowiące jej podstawę materialną. Wobec zbliżającej się nicości, wobec faktu umierania, obserwowanego z pełnym zainteresowaniem lekarza i przyrodnika, zachowuje Bazarow całkowity spokój. Zbuntowany przeciw klerykalnemu światopoglądowi nie traci do końca swojej dumnej postawy. Pozornie zwyciężony przez tych, którzy go przeżyli, którzy znaleźli miejsce w starym, zmurszałym porządku i jakoś się do niego przystosowali, pozostał faktycznie zwycięzcą, dominującym nad innymi postaciami powieści swoją zuchwałą i piękną sylwetką.

Jeśli Bazarowowi jako jednostce nie było dane zaznać rozkoszy triumfu, radości płynącej z kształtowania życia według głoszonych prawd, to pozostał on jako groźny cień, zapowiadający nadejście nowego pokolenia i zwycięstwo nad tym małym światkiem, któremu Turgieniew przyznał zwycięstwo.

Powieść „Ojcowie i dzieci" wywołała gorącą dyskusję. Tym razem Turgieniew stał się przedmiotem ataku z dwu stron: prasa postępowa zaatakowała go za to, że swego Bazarowa skazał na klęskę i śmierć, że pokazał bankructwo tzw. nihilizmu w zetknięciu z konkretną rzeczywistością społeczną, triumf zaś dał ludziom chwiejnym i słabym, którzy po nieudanym rekonesansie w świat nowych idei, stali się obrońcami starego porządku. Podkreślano słusznie, że swoim stosunkiem do Bazarowa, zwycięstwem przyznanym idealistom zajął Turgieniew miejsce po prawej stronie barykady.

Reakcyjnych grup nie zadowolił Turgieniew także. Przeciwnie zaniepokoił je wprowadzeniem jako przedstawiciela nowej, młodej grupy społecznej, tak wspaniałej kreacji artystycznej, jak postać Bazarowa. Intelektualna negacja „nihilizmu" zawarta w komentarzu autorskim oraz w rozwiązaniu intrygi powieściowej, nie znalazła potwierdzenia w obrazie artystycznym. Bankructwo Bazarowa zamierzone jako przegrana ideologiczna, pokazane zostało tylko jako klęska życiowa.

BANKRUCTWO LIBERAŁA

Późniejsze powieści Turgieniewa, pisane w okresie, gdy zniechęcony atakami krytyki, zmęczony osobistymi niepowodzeniami pisarz wyjechał z Rosji, przesycone są rozczarowaniem i goryczą. Przedstawiają one („Dym" — 1867, „Wiosenne wody" — 1871) środowisko rosyjskie zagranicą, składające się z emigrantów politycznych lub ludzi szukających zagranicą nauki czy rozrywki. Akcja tych powieści skupiona jest na wątku romansowym, ale tak samo, jak we wcześniejszych powieściach, Turgieniew traktuje powodzenie w miłości jako sprawdzian wartości biologicznej i społecznej bohatera. Człowiek, który potrafi rozwiązać owo podstawowe zadanie, jakim jest szczęście w miłości, dowodzi, że jest jednostką wartościową, umie znaleźć właściwe miejsce w społeczeństwie, kieruje się słuszną i prawdziwą ideą.

Bohaterowie zaś obydwu utworów gonią za majakami, urojenia własne biorą za rzeczywistość, zatracają w tej błędnej pogoni szczęście własne i szczęście wartościowej kobiety.

Wokół akcji romansowej grupuje Turgieniew rozmyślania swoje o ogólnej sytuacji Rosji, dyskusje na tematy polityczne, własną polemikę z ideologicznymi przeciwnikami.

Powieści Turgieniewa przynoszą niezwykle ostre widzenie konfliktów społecznych i ideologicznych owych czasów. Są one doskonałym wyrazem wahań, zwątpienia, rozterki liberalnej inteligencji rosyjskiej, wyrazem przekonania, że to bezsilne pokolenie skazane jest na zatratę, aby zrobić miejsce dla młodych sił, które nadchodzą.

Wpływ Turgieniewa na literaturę europejską w ogóle jest ogromny i na ogół opracowany przez badaczy radzieckich. Czeka natomiast na swego historyka jego wpływ na literaturę polską.

Artyzm Turgieniewa, to kunszt pisarski wysokiej klasy, talent prozatora posługującego się ogromnym bogactwem i skalą środków ekspresji, rozporządzającego niezwykle subtelnym wyczuciem drobnych nieraz odcieni znaczeniowych i władającego nimi bezbłędnie. Język Turgieniewa, który Lenin nazwał wielkim i potężnym, stanowi jeden z największych walorów jego dzieła.

POLSKIE WYDANIA TURGIENIEWA

Scharakteryzowawszy ogólnie, jaką twórczość udostępnili wydawcy polskiemu czytelnikowi, musimy z kolei postawić pytanie, jak wywiązali się oni z poważnego i odpowiedzialnego zadania wydania pisarza tej miary, co Turgieniew.

Rzeczą niezmiernie chwalebną jest popularyzowanie wielkich klasyków w wydaniach tanich, rzeczą tym bardziej chwalebną, że nasze niezbyt szczytne tradycje wydawnicze dawały zazwyczaj czytelnikowi taniej książki — tanią tandetną literaturę.

Żałować więc wypada, że „Biblioteka romansów i powieści" nie zerwała do koń-

ca z tradycjami wydawnictw tandetnych i nie wprowadziła drobnych, a bardzo istotnych ulepszeń. A więc np. należało się zdecydować, jak się transliteruje nazwisko autora i nie dawać jednej wersji na okładce, innej na karcie tytułowej: (Turgieniew i Turgeniew). Następnie trzeba byłoby dać spis rzeczy, tym bardziej, że ostatnia pusta karta przypomina o tym kardynalnym braku.

Przekład L. Okołów-Podhorskiego jest na ogół czytelny, choć niejeden szczegół mógłby być zakwestionowany. Mimo to chcę wyłączyć „Opowiadania", oraz „Wiosenne wody" i „Pierwszą miłość" w przekładzie K. A. Jaworskiego z toku dalszych rozważań.

Nie porównywałam tych przekładów z oryginałem, nie mogę więc zdobyć się na ocenę mniej oschłą i urzędową. Ale sam fakt, że nie zaszła w ogóle potrzeba konfrontowania ich z utworami Turgieniewa, że przekład przemówił do czytelnika jako tekst polski, wystarczy tu jako stwierdzenie wartości pracy tłumaczy.

Niestety, przy lekturze dalszych powieści, (wszystkich wydanych przez Wł. Bąka) nie mogłam obejść się od ciągłego zaglądania do oryginału, tak bowiem tekst polski odbiegał od tego, co wyniosłam z lektury Turgieniewa w oryginale.

PRZEDMOWY

Ale o tym dokładniej może później. Na pierwszym miejscu chcę zająć się inną sprawą: wszystkie omówione wyżej powieści, wydane przez firmę Bąka, są poprzedzone przedmowami, które mają charakter albo „zachęcający" albo „informujący" i „wyjaśniający". Otóż wydaje mi się sprawą niewątpliwą, że klasyk typu Turgieniewa nie potrzebuje przedmowy o charakterze handlowo-reklamowym, bo samo jego nazwisko i tytuł utworu mówią czytelnikowi więcej, niż najgórniejsze nawet superlatywy wydawcy.

Klasyków zaś należy wydawać albo bez podobnych upiększeń wydawcy, licząc na to, że dawno już utorowali sobie drogę do czytelników i obejdą się bez podobnych ułatwień. Albo też jeśli już ma być przedmowa, niech ta przedmowa będzie równie ważka i cenna, jak pisarz, którego ma wprowadzić. Niech zawiera ścisłą informację o nim, niech przynosi ścisły i naukowo poprawny komentarz do jego utworu.

Zbędne natomiast jest streszczenie omawianej powieści „własnymi słowami", a wręcz szkodliwe są informacje błędne, jak np. że Turgieniew (przedmowa do „Gniazda szlacheckiego") „zyskał od razu jednomyślne uznanie krytyki i czytelników", podczas gdy prawdą jest, że o uznanie to dobijał się długo i bezskutecznie, o czym łatwo można dowiedzieć się z każdego podręcznika literatury rosyjskiej. Równie szkodliwe jest stwierdzenie, że „Dym" był u nas „mało znany i bodaj nigdy nie tłumaczony", podczas gdy dokładne informacje o przekładzie tej powieści (Warszawa, 1871, nakł. „Przeglądu Tygodniowego") zaczerpnąć łatwo z bibliografii Estreichera.

PRZEKŁADY

Następnie, żeby móc tłumaczyć trzeba znać dobrze język, z którego się tłumaczy, i ten, na który się tłumaczy. Tymczasem tłumacze, którzy w wydawnictwach W. Bąka porwali się na wielkiego klasyka literatury rosyjskiej i światowej, nie rozporządzali najniższym nawet stopniem znajomości języka rosyjskiego.

Nawet tym, kiedy się wie, że wyrazy brzmiące po polsku i po rosyjsku podobnie, bynajmniej nie mają tego samego znaczenia. Że rosyjski „obrok" — to nie polski „obrok", lecz czynsz; rosyjski „post'el" — to nie polska „pościel", lecz łóżko; rosyjskie „swoim poriadkom" — to nie polskie „swoim porządkiem"; „schodka" — to nie polska „schadzka", lecz zebranie; rosyjskie „treszczat'" — to nie polskie „trzeszczeć", lecz gadać; rosyjskie „komnata" — to nie polska „komnata", lecz pokój itp.

Przykłady mnożyć można bez końca i bez trudu, przepisując po prostu strona za stroną te tak reklamowane przez wydawców „arcydzieła". „Robota" tłumaczy polegała po prostu na przetransponowaniu na język polski słowo po słowie tekstu Turgieniewa. Jakiejś świadomej pracy tłumacza, który nie tylko oddaje sens tłumaczonych wyrazów, ale także chce znaleźć polski odpowiednik dla zestawień wyrazów w oryginale, zupełnie tu nie spotykamy.

Bohaterki nazywają się Aleksandra Pawłówna (sic!) lub Kapitolina Markówna (sic!). Mówią do siebie ty, wy, pan, bez wyboru i bez sensu. Tak np. w „Ojcach i dzieciach" Bazarow mówi do starego Kirsanowa „wy", przy tym często nie wiadomo, czy chodzi mu o ziemian (wtedy powinien by mówić: wy) w ogóle, czy o Kirsanowa (wtedy powinien by mówić: pan). Natomiast tenże Kirsanow tak wrażliwy na rozmaite towarzyskie drobnostki, zwraca się do dziewczyny wiejskiej „per pani". Poza tym roi się od rusycyzmów. I tak dowiadujemy się np. że „przyjdzie jej umierać", że „rozdrażnienie jego dochodziło wprost do dzieciństwa", że „panowie, o ile słyszałem, znajomi", że „nie może pan sobie wyobrazić, co mi o nim naopowiadał, komizm po prostu („Rudin"), „Techniczce zrobiło się źle", „krew poszła nosem", „został mirowym pośrednikiem", „ubrany był w kraciasty pidżak" („Ojcowie i dzieci"), „Obrok gdzieniegdzie się zwiększył i pańszczyzna stała się dokuczliwa" („Szlacheckie gniazdo"), „Zapytał Bambajew, trwożąc się już zawczasu", „a na dowód zapiał romans Warłamowa", „jestem zachodowcem" („Dym").

Trudno dalej nużyć czytelnika, a fakt, że przekład i przedmowa do „Ojców i dzieci" omówione zostały w „Gabinecie osobliwości" czasopisma „Szpilki" (Nr 41), czyni dalsze wyliczenia zbędnym. Przytoczone przykłady wystarczą, by dać pojęcie, w co pod piórem tłumaczy polskich zmieniła się przepiękna proza Turgieniewa.

Powszechne na ogół jest narzekanie, że nasze stare, dziewiętnastowieczne tłumaczenia klasyków stoją na niskim poziomie, że nie wytworzyliśmy dobrej literatury przekładowej, nie doceniając jej ogromnego znaczenia kulturalnego. Jeśli potrafimy spojrzeć krytycznie na dorobek przeszłości, to umiejmy także sobie postawić pewne wymagania, przynajmniej takie, by przystępując do tłumaczenia wiedzieć, jakie znaczenie ogólne ma dany autor i jakiego jest godzien trudu.

Janina Kulczycka-Saloni

ALEKSANDER LITWIN

Historiozofia Pawła Jasienicy

Paweł Jasienica podjął się niewdzięcznego zadania. Postanowił przystosować historię do swych założeń „historiozoficznych" oraz do politycznych potrzeb obozu reprezentowanego przez „Tygodnik Powszechny".

Zadanie to nie łatwe. Paweł Jasienica postanowił bowiem wybielić winowajców klęski wrześniowej i wyciągnąć z tych brzemiennych w skutki wypadków historycznych wnioski, które by odpowiadały zarówno winowajcom, jak i współwinowajcom tej największej w dziejach narodu naszego klęski.

Rzecz jasna, że zbożnemu celowi odpowiadać musiały swoiste metody. Paweł Jasienica omija i przemilcza fakty dlań niemiłe, przeinacza fakty, których ominąć nie można, stosuje wreszcie metodę rozumowania „co by było gdyby..."

Dlaczego Jasienica podjął się tak niewdzięcznego zadania?

Za klęskę wrześniową przyjęło się winić reżim sanacyjny, piłsudczyznę. Ale w dziesięciolecie Września nikt w Polsce nie może i nie ma prawa zapomnieć, że współwinę za klęskę wrześniową ponoszą:

po pierwsze — kierownictwa wszystkich legalnych partii politycznych — od endecji do PPS, które popierały zagraniczną politykę sanacji,

po drugie — rozpolitykowana reakcyjna część kleru.

Tylko nieliczna stosunkowo grupa działaczy lewicy PPS, poszczególni politycy w pozostałych partiach oraz pewna grupa księży-patriotów sprzeciwiała się (choć przeważnie niekonsekwentnie) zdradzieckiej polityce Becka.

Paweł Jasienica stawia następujące tezy zasadnicze:

1) „Wielki Plan" Hitlera przewidywał wspólny z Polską marsz na ZSRR gdzieś w latach 1943—1945. „Hitler — czytamy — już w roku 1937 jako ostateczny termin rozgrywki przewidywał lata 1943 — 1945".

2) Hitler nie chciał wojny z Polską w ogóle, a tym bardziej w roku 1939. Zamierzał podporządkować ją sobie dopiero po rozbiciu ZSRR. „Rok 1939 nie był brany w rachubę" — twierdzi Jasienica i na dowód przytacza własne słowa Hitlera z rozkazu wydanego do wojska 11.IV.1939 r.: „byłoby rzeczą dobrą uniknąć sporu z Polską". „Hitler chciał nas unicestwić, ale przedtym pragnął posłużyć się nami jako sojusznikiem, czyli narzędziem do unicestwienia innych".

3) Ten „Wielki Plan" Hitlera poniósł „krach". Sanacja bowiem i jej poplecznicy stanowczo odmówili przekazania Gdańska i „korytarza" Hitlerowi. „Krach Wielkiego Planu" był — zdaniem Jasienicy — bezpośrednim owocem „słusznej oceny całości zdarzenia" przez sanację i ówczesny rząd.

4) Stąd wniosek: „historyczne znaczenie roku 1939 i Września jest to właśnie, żeśmy się na rolę niemieckiego sojusznika nie zgodzili i dlatego wojna zaczęła się wcześniej i w warunkach dla Niemiec nie tak dobrych, jak to mogło łatwo być". We wrześniu „naród nasz spełnił swój obowiązek wobec Europy, wiążąc w walce g r o s sił napastnika..." Ta „krótka jesienna kampania... wpłynęła na bieg dziejów powszechnych".

Jednym słowem — zdaniem Jasienicy, — Polska odegrała ponownie rolę Mesjasza Narodów, okupiła swą krwią wolność narodów. Wrzesień był niezbędny.

Gdzie dowody?

Dowód przytacza Paweł Jasienica jeden — „uzasadniony" popularną metodą „co by było gdyby..."

„O tym raczej pomyślmy, że wojna rozpoczęta jesienią 1939 — kiedy Hitler niecałkiem jeszcze był gotów, — trwała lat pięć i pół z okładem i zrujnowała Europę. A ile by czasu trwać musiała i jakie byłyby jej koszty jeśli by zaczęła się później i w warunkach dla Niemiec lepszych? A zaczęłaby się później na pewno... Ważnym jest, że Niemcom zabrakło czasu na wydoskonalenie kolejnych „V". Ważnym jest, kto pierwszy dotarł do śmiertelnej tajemnicy broni atomowej, od której Niemcy byli już bardzo niedaleko".

Straszenie naiwnych „wydoskonalonymi kolejnymi „V" i, oczywiście, „śmiertelną bronią atomową" oto metoda rozumowania Pawła Jasienicy. Przytoczywszy ten „argument" zadaje autor pytanie zasadniczej wagi: „Na czyje konto ma być zapisane owo odrzucenie awansu na hitlerowskiego wasala? Mamy to przypisać narodowi, czy jego ówczesnym rządom?"

Przemilczeć, pominąć patriotycznej i bohaterskiej postawy narodu nie mogą nawet publicyści „Tygodnika Powszechnego". Ale poza tym Wrzesień był zdaniem Pawła Jasienicy najlepszym dowodem mądrości politycznej i dalekowzroczności ówczesnych rządów. „Nie zapominamy szosy zaleszczykowskiej — pisze — ale umiemy odróżnić niesławę należną niektórym tylko, od słusznej oceny całości zdarzenia".

Tyle Paweł Jasienica.

Jeden z moich znajomych nazwał niedawno Pawła Jasienicę „enfant terrible" „Tygodnika Powszechnego". Niesłusznie. Wiemy wszyscy od dawna, że Paweł Jasienica to świadomy obrońca konserwatyzmu i wstecznictwa. Okazuje się, (nie po raz pierwszy zresztą), że jest również przysięgłym adwokatem zdrady narodowej.

Broniąc niesłusznej sprawy Paweł Jasienica chwyta się niedopuszczalnych metod — przeinacza fakty.

„24 października 1938 r. — czytamy w jego artykule — Ribbentrop przyjął w Berchtesgaden ambasadora Lipskiego i po raz pierwszy wyraźnie zażądał Gdańska, linii kolejowej i autostrady".

Nieprawda! 3 maja 1933 r. Hitler przyjął posła Wysockiego i zażądał zwrotu Gdańska. „Byłoby bardziej rozsądnie szukać wyjścia ku morzu po drugiej stronie Prus Wschodnich" — oświadczył wówczas. Żądanie to powtórzył 15 listopada 1933 r. Sanacja fakty te przed narodem ukryła. Paweł Jasienica, za sanacją, usiłuje również fakty te ukryć. Bo wniosek stąd prosty: zawierając z Niemcami w styczniu 1934 r. „pakt o przyjaźni" — sanacja „nie wiedziała" o żądaniach Hitlera.

Sanacja — powiada dalej Jasienica — odrzucała stanowczo myśl o ugodzie z Hitlerem w sprawie Gdańska i korytarza. Nieprawdziwość tego twierdzenia wykazałem w artykule moim zamieszczonym w numerze 35 „Kuźnicy". Pozwolę sobie powtórzyć fragment ze sprawozdania Becka z jego rozmowy z Hitlerem z dnia 5 stycznia 1939 roku:

„Minister Beck — czytamy — odpowiedział kanclerzowi, że problem Gdańska należy do najbardziej trudnych. Dodał, że w propozycji kanclerza (zwrotu Gdańska — red.) nie dostrzega dostatecznego ekwiwalentu(!) i że opinia polska, obejmująca nie tylko tych, którzy zajmują się polityką, ale wszystkie warstwy społeczne, jest w tej sprawie specjalnie drażliwa".

A oto inny przykład. W instrukcji Becka z 31 października 1938 r. dla ambasadora RP w Berlinie, Lipskiego, w sprawie odpowiedzi na niemieckie żądanie zwrotu Gdańska i Pomorza — czytamy:

„W tej sytuacji rząd polski stoi na stanowisku, że problem gdański uwarunkowany jest dwoma elementami: wolnością, która ma być zapewniona niemieckiej ludności Wolnego Miasta oraz utrzymaniem związku między Polską i tymi urządzeniami, które nadają Wolnemu Miastu charakter portu".

Kto rozumie język dyplomatów, ten zda sobie sprawę z wagi tych słów: Hitlerowcom zapewniał Beck „wolność", prawa Polski zaś ograniczył do „urządzeń, które nadają Wolnemu Miastu charakter portu".

Beck zresztą był zdania, że żądania hitlerowskie nie naruszają odrębności Wolnego Miasta. Trudności widział Beck gdzie indziej. W instrukcji telegraficznej do posła RP w Sztokholmie z dnia 5 grudnia 1938 r. pisze Beck dosłownie:

„Na terenie Gdańska istnieją trudności w sprawach żydowskich (sic!) wykorzystywane przez miejscowe skrajne elementy. Nie odczuwam natomiast napięcia grożącego naruszeniem odrębności Wolnego Miasta".

Beck żądał jedynie „dostatecznego ekwiwalentu". Politykę zdrady narodowej przeprowadzał świadomie. Krył się z nią przed narodem własnym, ale nie krył się przed Niemcami. „Polityka porozumienia jest rzeczywiście nie zawsze łatwa do przeprowadzenia i zdaję sobie sprawę z jej trudności" — oświadczył ambasadorowi niemieckiemu von Moltke 9 marca 1939 r.

Beck się ze swoimi planami nie krył. Paweł Jasienica natomiast pragnie ukryć te plany i fakty.

Dlaczego takie są jego intencje? Dlaczego broni polityki, której bronić nie można i nie wolno? Sądzę, że z trzech przyczyn. Po pierwsze dlatego, że politykę Becka popierały w owym czasie te koła, których wyrazicielem jest obecnie „Tygodnik Powszechny"; po wtóre — dlatego, że żądania Hitlera poparł papież, a nuncjusz Cortesi w imieniu papieża zalecił prezydentowi Mościckiemu wykazać „umiarkowanie" i zrezygnować z Gdańska, Pomorza i innych ziem; po trzecie zaś — dlatego, że politykę Becka w nowym wydaniu, wobec nowych pretendentów do władztwa światowego, zamierzają obecnie powtórzyć pewne koła reakcji polskiej. Obronę założeń ich polityki, w formie pokrytej dymną zasłoną rozważań historycznych, przedsięwziął właśnie Jasienica.

Czy koła, których myśli wyraża „Tygodnik Powszechny", poparły w swoim czasie antyradziecką i prohitlerowską politykę Becka? Spośród wielu dowodów przytoczę dwa. Popierając myśl o wspólnym z Hitlerem najeździe na ZSRR, „Mały Dziennik" radził przepuścić wojska hitlerowskie nawet... przez terytorium Polski.

„A cóż państwo powiecie, jeśli Hitler, wszystko jedno którędy (?!), rozpocznie najazd na Sowiety? Trudno, w żadnym wypadku nie moglibyśmy sympatyzować z bolszewikami, niech by się chociaż ten koszmar skończył, wszystko jedno czyją ręką". (31.3.1936).

„Mały Dziennik" twierdził przytym, że Hitler ma jedynie pokojowe zamiary wobec Polski:

„Chodzi m. in. (bolszewikom) o zohydzenie Niemiec, o dostarczenie dowodów, że to nie oni, lecz hitlerowcy są mącicielami głównymi pokoju... Śmieszne argumenty!"

Czy koła reprezentowane przez „Mały Dziennik" gotowe były nawet na dalej idące pakty z Hitlerem? Niewątpliwie. Za „Życiem Warszawy" przytoczę jeden choćby cytat z reportażu z Niemiec: „Tak, dziś nikt w Niemczech nie wątpi w fakt bezprawności i nienaturalności nowych granic" — z Polską.

Czy na tym tle może być uważane za dziwne obecne twierdzenie Jasienicy, iż Hitler w 1939 r. nie chciał wojny z Polską? Bogiem a prawdą — trudno orzec co bardziej w 1949 roku podziwiać: — tupet czy rachuby na cudzą naiwność i krótką pamięć?

Hitler wojny nie chciał — któż ją więc sprowokował? Mógł jedynie drugi partner — a więc Polska! Tego nawet Jasienica nie śmie stwierdzić. A więc — kto? Z wolą czy mimo woli Jasienica wybiela z kolei Hitlera. Pamiętamy zresztą (dowody chyba zbyteczne) jak to przyjaciele polityczni pana Jasienicy, na przykład z „Małego Dziennika" czy innych klerykalnych piśmideł, prezentowali narodowi polskiemu politykę Hitlera jako jedyną drogę do szczęśliwości wieczystej. Dla udowodnienia powyższej swej tezy Paweł Jasienica pozwala sobie na chwyt, którego nie można określić innymi słowy jak fałsz historyczny. Przytacza mianowicie, zacytowane wyżej, słowa Hitlera z rozkazu wydanego do wojska 11.IV.1939 r., że „byłoby rzeczą dobrą uniknąć sporu z Polską". Rozkaz ten, jak wiadomo, mobilizował armię niemiecką do inwazji na Polskę. Zgodnie jednakże z swoją zasadniczą metodą obłudy i oszustwa, Hitler ukrywał swe agresywne zamiary za pokojowymi i pacyfistycznymi frazesami. Paweł Jasienica, udając naiwnego, pozwala wziąć się na lep tej frazeologii. Dość dziwna predyspozycja psychiczna w roku pańskim 1949.

Daleki jestem od prób upraszczania gry politycznej Niemiec. Nie ulega wątpliwości, iż liczna grupa polityków niemieckich obawiała się wojny z Polską. Ale Hitler i jego czołowi kamraci jeszcze w latach dwudziestych, a zupełnie konkretnie w 1932 roku, określili linię polityczną swego postępowania w sprawie Polski.

„Gdy zrozumiemy — pisał w 1927 r. Rosenberg — że zniszczenie państwa polskiego jest pierwszą potrzebą Niemiec, sojusz między Kijowem a Berlinem i utworzenie wspólnej granicy staną się narodową i państwową koniecznością przyszłej niemieckiej polityki".

Jasienica zapewnia nas, że Hitler nie chciał wojny w 1939 r. i dopiero w 1939 r., po odmowie oddania Gdańska i pokrzyżowaniu jego planów wojny w latach 1943/45, zdecydował się „z zemsty" na „politykę wściekłego psa" tzn. politykę teroru wobec ludności cywilnej.

A co na to... Hitler?

„Nie mam potrzeby liczyć się ze skrupułami, — oświadczył Rauschningowi. — Wybiorę oręż, który uznam za niezbędny.

„Masowe ataki powietrzne, ataki niespodziewane, akty teroru, sabotaż, zamachy dokonywane od wewnątrz, zabójstwa przywódców, piorunujące uderzenia we wszystkie słabe miejsca obrony przeciwnika, zadawane, jak młotem, jednocześnie, bez rozmyślania o rezerwach i stratach — taką będzie przyszła wojna. Potężny młot, który złamie wszystko".

„Prowadzę politykę przemocy, — dodał — wykorzystuję wszelkie środki, nie troszcząc się o moralność i „kodeks honorowy".

Tyle Hitler.

Paweł Jasienica usiłuje wreszcie zasugerować, iż stanowisko sanacji (a więc i jej popleczników we wszystkich partiach politycznych, łącznie z reakcyjną częścią kleru) było dalekowzroczne i patriotyczne.

W roku 1938 reżim hitlerowski przechodził głęboki kryzys wewnętrzny. Grupa generałów i polityków konserwatywnych przygotowała spisek, z zamiarem obalenia reżimu. Posiadane obecnie dowody wykazują, iż grupa ta rozporządzała dostateczną siłą, aby rządy Hitlera obalić, bądź co najmniej głęboko wstrząsnąć ich podstawami. Bezkrwawe zajęcie Sudetów pokrzyżowało plany tej grupy. Nie ulega wątpliwości, że Hitler, gdyby nie uzyskał poparcia Polski, nie zdołałby zająć Sudetów. Porozumienie polsko-radziecko-czeskie było w owych warunkach w stanie pokrzyżować wszelkie zaborcze zamiary Hitlera.

„Prostolinijna polityka Becka" (określenie Ribbentropa) poparcia reżimu hitlerownkiego i zaboru Czechosłowacji, uratowała w 1938 r. rządy Hitlera. Czy fakty te są znane publicyście „Tygodnika Powszechnego"? Nie wątpię. Dlaczegóż je pomija?

Sanacja odrzucała do ostatniej chwili wszelką myśl o współdziałaniu ze Związkiem Radzieckim w dziele obrony pokoju i niepodległości narodu. Nie tylko w roku 1939, ale nawet w latach 1943 — 45 nie ważyłby się Hitler napaść na tak silną koalicję pokojowych narodów. Czy wie o tym Paweł Jasienica? Nie wątpię. Dlaczego więc pomija fakt, że w 1939 r. można było zapobiec wojnie? Dlaczego czyni z Polski nowego „Mesjasza Narodów", a z klęski wrześniowej drogę okupienia ich wolności?

Komentarze i odpowiedzi są chyba zbyteczne. Ich aktualna wymowa polityczna jest aż nadto oczywista.

Dlaczego postanowił Hitler w 1939 roku zagarnąć Polskę?

Czołowi politycy sanacji, endecji, PPS (prawicy) i kleru, sądzili że polityka antyradzieckiego sojuszu wojennego z Hitlerem jest realna. Hitlerowi „wyznaczyli" dwie drogi na ZSRR: północną — z Prus Wschodnich przez Litwę i państwa nadbałtyckie, i południową — przez Czechosłowację na Ukrainę. Polska miała zająć centrum. Sądzili naiwni, zgodnie z charakterystycznym dla nich prostactwem myśli, że Hitler zgodzi się na ten „wielki plan". Przeceniali własne siły. Ale Hitler zdawał sobie dobrze sprawę ze słabości i zgnilizny reżimu sanacyjnego i wiedział, że w wojnie przeciwko największej potędze świata — ZSRR, nie wolno pozostawiać słabych odcinków frontu.

Dalej Hitler wiedział, że Polska w ogóle nie jest sojusznikiem w wojnie, zdawał sobie bowiem sprawę z całkowitej izolacji zbankrutowanych polityków reżimu faszystowskiego w narodzie. Moltke oświadczył to zresztą Beckowi w oczy. „Oświadczyłem panu Beckowi — czytamy w jego raporcie, — że obydwa te przykłady (demonstracji antyniemieckiej), jak i inne tego rodzaju obserwacje wykazały niestety, jak wąską jest platforma, na której tu, w Polsce, uprawiana jest polityka porozumienia. Oprócz niego (Becka) i może pół tuzina innych osobistości, nie ma w Polsce właściwie nikogo, kto by się poważnie tą sprawą interesował".

Naród nie poszedłby z Hitlerem przeciw ZSRR.

Niezależnie od tego — podbój Polski był dla realizacji planów Hitlera niezbędny. Wzmacniał bowiem zasadniczo jego pozycję strategiczną w Europie i pozycję polityczną w Niemczech. Była to dla niego sprawa merytoryczna, — decydowała bowiem o przyszłości jego zaborczych planów.

To nie Hitler „potknął się" we wrześniu 1939 roku — jak twierdzi Paweł Jasienica. Realizował on konsekwentnie swe plany. „Potknęli" się zaślepieni nienawiścią do ZSRR i sił polskiej demokracji ciasnogłowi politycy sanacyjni, endeccy i klerykalni; „potknęli się" przyjaciele i poprzednicy polityczni pana Jasienicy i „Tygodnika Powszechnego"; „potknęli się" obecnie Paweł Jasienica i „Tygodnik Powszechny" — ujawniając swe oblicze polityczne.

Artykuł swój w „Tygodniku Powszechnym" zatytułował Paweł Jasienica „Dziesięciolecie". Sądzę, iż w bolesną dziesiątą rocznicę Września byłoby bardziej słuszne i celowe, gdyby panowie z „Tygodnika Powszechnego" pogrobowcy linii politycznej rozpolitykowanego kleru z lat 1933 — 1939, gdyby współtowarzysze linii postępowania biskupów Lorka, Adamskiego czy Kaczmarka, raczej milczeli. A gdy już głos postanowili zabrać — uderzyliby się mocno w piersi i zawołali, aby ich cała Polska słyszała — nostra maxima culpa, naszą wielką współwina...

Aleksander Litwin

Między Paryżem a Zatoką Gwinejską

(Dokończenie ze str. 2)

większych poetów Ameryki Łacińskiej naszego stulecia. Ale był rebeliantem. Rzeźba jego głowy w brązie w Muzeum Etnograficznym i jego wiersze o murzynach Haiti wprowadzają w błąd, co do jego koloru skóry. Był członkiem jednej z najbardziej „jasnych" rodzin Petionville, był kuzynem jednego z „jasnych" prezydentów, z czasów okupacji amerykańskiej. Otrzymał wykształcenie należne pochodzeniu. Ukończył studia uniwersyteckie w Paryżu. Paryż — twierdzi Petionville — był początkiem końca Jacques'a Roumain. Przywiózł z Paryża zamiast tomów Claudela i Valery'ego — Kapitał Marksa. Z radykalizmu nie potrafiły go wyleczyć nawet kolejne przymusowe „misje zagraniczne" na placówkach dyplomatycznych w New Yorku, Hawanie i Meksyku. Stał się „enfant terrible" Petionville i „groźbą" dla Republiki. Nauczył się — jeden z niewielu od początków Haiti mieszkańców Petionville — la langue creole, objeżdżał kraj, wygłaszając rewolucyjne przemówienia w tym języku, drukował rewolucyjne wiersze, i co — najmniej było do wybaczenia — nie udawał, że jest „prawie" białym i nie wstydził się przynależności do społeczności murzyńskiej. Był drożdżami Haiti przez przeszło dziesięć lat — okres długi, ale dla Haiti za krótki. Założył czasopismo literackie „Les Griots", które wyrzekło się małpowania Paryża, a zajęło się haitiańskim folklorem. W przerwach między „misjami dyplomatycznymi" zagranicą i siedzeniem w więzieniu w kraju, rozpoczął organizować Komunistyczną Partię Haiti. Umarł — po krótkiej i tajemniczej chorobie — na kilka miesięcy przed ostatnią rewolucją, na kilka tygodni przed ukazaniem się jego powieści, która jest lepszym świadectwem doli haitiańskiego chłopa, niż cała pozostała produkcja haitiańskich intelektualistów.

Śmierć Jacques'a Roumain złamała kręgosłup postępowi na Haiti, atakowanemu ze wszystkich stron. Odebrała przywódcę nikłej intelektualnej elicie Republiki, będącej zjawiskiem społecznym równie dla Haiti swoistym jak mulacka elita ekonomiczna Petionville. Haiti nie ma elity technicznej, nie znając cywilizacji przemysłowej. Jej intelektualiści, to albo odpryski wątłego haitiańskiego mieszczaństwa, albo własnym wysiłkiem wydźwignięte jednostki z czarnych dołów. Pozbawieni możliwości awansu społecznego i środków egzystencji, żyli zawsze z łaski prezydentów-mecenasów, stanowiąc nieszkodliwą ozdobę Republiki na pokaz przed światem. Znali i znają świat zewnętrzny z drugiej i trzeciej ręki, są zapóźnieni o pokolenie conajmniej swą niemoc działania topiąc w lekturze Bergsona i traktatów o przekleństwie cywilizacji technicznej. Po śmierci Roumain'a powrócili do owych lektur. Małe sympozjum haitiańskich etnologów — co drugi haitiański intelektualista jest etnologiem — na które trafiłem przypadkiem, wyglądało tak, jak wyglądać musiały zebrania polskich miłośników folkloru w czasach przedkolbergowskich. Dyskusja toczyła się w mistycznym żargonie późnego romantyzmu i „duch kultury haitiańskiej" był zwrotem, występującym wielokrotnie. Zebranie zaszczycali obecnością dwaj współautorzy najnowszej książki, wydanej właśnie w Port-au-Prince, doktorzy nauk filozoficznych. Książka nosiła pasjonujący tytuł: „Problemy klas na Haiti". Jej lektura była rozczarowaniem. Pierwsze dwadzieścia stron książki cytowały: Tacyta, Peguy, Alfreda Niceforo, Baboeufa, Hegla i Kemala Paszę. Studium okazało się rozprawą „psychosocjologiczną", postulującą jedność moralną haitiańskiej demokracji z „klasą intelektualistów" jako łącznikiem między elitą z Petionville i „le peuple". Sympozjum etnologów haitiańskich i dzieło dwóch doktorów filozofii były doskonałym pendant do świata, w którym dwa tysiące ludzi czyta streszczenia „Adolfa" Benjamina Constant w miejscowym dzienniku, a około trzech milionów ludzi, nie znając sztuki pisania i czytania w ogóle, uprawia rolę narzędziami dziadów z Zatoki Gwinejskiej, zanosząc w przerwach modły o deszcz do bogów Voodoo i świętych pańskich.

*

Wyjeżdżałem z Haiti z uczuciem przygnębienia i wstydu. Mr. Wulff usiłował mnie w drodze na lotnisko rozweselać anegdotami o amerykańskim żołnierzu, rzekomo polskiego pochodzenia, który przed dwudziestu laty ogłoszony został „białym królem" przez mieszkańców jednej z wysp między Haiti i Kubą. Anegdoty przypomniały mi polskich legionistów sprzed półtora wieku. Nie ma o nich słowa w dziełach, poświęconych historii Republiki. W Port-au-Prince mówiono, że na północy w Cap Haitien mieszka kilka rodzin o nazwiskach kończących się na — ski. Rozmowy z kustoszami Muzeum Etnograficznego wskazywały, że osiedleńców było ostatecznie około pięciuset. Mieli być jedynymi cudzoziemcami, którym po klęsce Francuzów pozwolono osiąść na Haiti. Toussaint de L'Ouverture zasłyszał gdzieś, że oni także walczyli o swoją niepodległość. Założyli w górach na północnym zachodzie osadę o śmiesznej nazwie Bombardopolis. Nazwa figuruje na mapie Haiti, ale nie ma do Bombardopolis żadnego poza ścieżkami górskimi dostępu. Podróż — na mułach — zajęłaby może dni trzy, może pięć.

Na lotnisku pachniało Chanelem od wypielęgnowanych kobiet z Petionville. Nędza Haiti wydawała się tutaj równie nierealna, jak wykwint Petionville z perspektywy Port-au-Prince i haitiańskich wsi. Lotnisko otoczone było rzędem, stojących nieruchomo, smukłych tropikalnych drzew, które jakby starały się zasłonić nędzę trzymilionowej ludności Republiki. Było ich stanowczo za mało, aby zasłonić nędzę Haiti i Ekwadoru, Konga i Nigerii, Malajów i Indii i wszystkich innych egzotycznych krajów na kuli ziemskiej, wegetujących w cieniu odpowiedzialnej za tę nędzę cywilizacji Zachodu.

Mieczysław Wionczek

PRZEGLĄD PRASY

Poza kręgiem literatury

Jak dobrze przestać czasem czytać prasę literacką! Wy, moi czytelnicy, może nie czujecie, jak to przyjemnie, ale ja, wieloletni kronikarz tej prasy, z radością robię pauzę w tej lekturze. Trzeba się zajmować rozmaitymi dziedzinami życia, bo literatura nie ma żadnego sensu i znaczenia, jeśli idzie do Sasa, a świat w którym powstaje — do lasa. Nie znaczy to jednak, by pisarz nie powinien się starać jak kot chodzić własnymi drogami, zamiast szybko i niepotrzebnie przebiegać trasy przemierzone już przez kogoś innego.

Jakgdyby w chęci dopomożenia mi w słusznym dziele wyrwania się z kręgu literatury redakcja „Przeglądu Zachodniego" przesłała mi ostatnio 5/6 zeszyt tego miesięcznika.

Przeglądam uważnie ten zeszyt i miło mi stwierdzić, że jest znacznie bardziej interesujący dla laika, jakim jestem, niż wiele numerów poprzednich. Większość prac jest opatrzona nazwiskami młodych pracowników naukowych i poświęcona specjalnym zagadnieniom ludnościowym. Redakcja pisma była tak uprzejma, że przesłała mi jednocześnie z zeszytem sporą stronicę wyjaśnień, słusznie rozumując, iż poto bym mógł o czymś pouczać, winienem być najpierw sam pouczony.

Otóż z otrzymanego przeze mnie wyjaśnienia wynika, że materiały zawarte w bieżącym numerze „Przeglądu Zachodniego" są dostarczone przez grupę młodych pracowników naukowych, zorganizowaną przez prof. Seweryna Wysłoucha przy Instytucie Śląskim w Katowicach. Ten nowopowstały zespół naukowców opracowuje obecnie poniemieckie materiały archiwalne, dotyczące przeważnie spraw ludności zamieszkałej na Śląsku w wieku XIX i XX.

Rozmaicie oczywiście można opracowywać takie materiały. Wymieniony jednak zespół ma wysokie ambicje naukowe i usiłuje stosować w swojej trudnej pracy metodę dialektyczną, ujmując historię ludności śląskiej na tle przemian gospodarczo społecznych.

Jak się przedstawia treść tego zeszytu? O „Najpilniejszych zadaniach historiografii śląskiej" pisze Seweryn Wysłouch; w tej pracy szczególnie mnie zajęły punkty, będące zwięzłym ujęciem wniosków nasuwających się autorowi przy ocenie niektórych prac naukowych dotyczących spraw śląskich. Wysłouch uważa, że aby zachować istotną prawdę historyczną w ocenie spraw ludności na Śląsku „historyk winien korzystać z pomocy socjologii i jej najnowszych zdobyczy. Inaczej nie uda mu się ustrzec przed zbyt pochopnym wysuwaniem wniosków dalekich od istotnej prawdy historycznej". Jednocześnie autor wskazuje na to, iż w obecnym stanie znajomości archiwów „wszelkie wnioski dotyczące życia i postawy duchowej polskich mas ludowych Śląska XIX i XX wieku uważać należy za przedwczesne". Trzeba więc udostępnić jaknajrychlej archiwa i prowadzić nad nimi prace badawcze.

T. Ladenberger pisze o „Kolonizacji fryderycjańskiej na Śląsku". St. Golachowski bardzo interesująco zestawia „Jawne i tajne statystyki językowo-narodowościowe na Śląsku Opolskim". J. Orzechowski porusza sprawę „Asymilacji mniejszości na tle szkolnictwa polskiego na Górnym Śląsku". Z tą pracą w pewnym sensie wiąże się artykuł Popkiewicza o „Genezie Gimnazjum Bytomskiego". Wreszcie mamy dwa artykuły, wyjaśniające losy mniejszości polskiej w zależności od: a) wadliwości konwencji genewskiej w rozstrzyganiu skarg mniejszościowych (A. Maruszczak), b) ustawy o ochronie granic Rzeszy z r. 1937, wymierzonej m. inn. przeciw prawom robotnika polskiego na G. Śląsku.

Obszerny numer 5/6 uzupełniają inne jeszcze cykle tematyczne. „Współczesna Czechosłowacja" — dział ten składa się z kilku prac — H. Batowskiego (Historia Słowacji między 1938—48 rokiem), J. Reychmana (o powstaniu słowackim 44 roku w literaturze pięknej i naukowej) i inn.

W dziale „Materiały" 'o rzemiośle artystycznym na Ziemiach Odzyskanych pisze M. Padechowicz. W dziale „Polemik i dyskusji" St. Rospond broni swojej pracy o „Zabytkach językach polskiego na Śląsku", zaatakowanej przez M. Waltera w czasopiśmie „Sobótka". Nie znam niestety ani pracy St. Rosponda ani recenzji mgr. Waltera, ale dzięki „Przeglądowi Zachodniemu" zapoznam się z tymi ciekawymi materiałami.

W sumie przejrzałem przeszło 500-stronicowy tom „Przeglądu Zachodniego" z wielkim zainteresowaniem. Niektóre prace czytałem, inne przerzuciłem tylko. W każdym razie nie odłożyłem tego tomu na półkę, jak mi się to nieraz zdarza czynić z najbardziej zachwalanymi powieściami. Nieźle jest czasem wyjść z kręgu literatury pięknej! **ph.**

Noty

Premia

Znakomity pisarz i działacz społeczny Louis Aragon został wyróżniony przez rząd francuski. Autor „Komunistów" nie otrzymał nagrody literackiej ani Legii Honorowej. Nie miał ku temu warunków, gdyż nie był faszystą, nie współpracował z rządem Vichy i sprzeciwiał się stanowczo wydaniu Francji na łup Ameryki. Aragon jest tylko znakomitym pisarzem, walczył w Ruchu Oporu i poświęcił życie walce o pokój i socjalizm. Dlatego też jego rząd wyróżnił go... pozbawieniem praw obywatelskich. Zarządzenie władz francuskich nie jest dla nas niespodzianką. Francja, ściśnięta w amerykańskie kleszcze, musi dbać o swój

międzynarodowy prestiż na Zachodzie. Nastały dobre czasy dla byłych kolaboracjonistów i zdrajców, którzy znowu są na wolności i nabierają coraz większego tupetu. Faszyści zwolnieni z więzień, zrehabilitowani i przywróceni do łask, powracają do życia politycznego. Rząd francuski dba o to, aby dawni zwolennicy Hitlera przebywali w „dobranym towarzystwie" i przeprowadza odpowiednią „selekcję" polityczną, której ofiarą padł Aragon. Należy się spodziewać, że rząd powoła do życia jakąś „Komisję dla badania działalności antyfrancuskiej", która „zaprowadzi porządek" w literaturze francuskiej. W razie trudności można taką komisję sprowadzić z Ameryki w ramach planu Marshalla. **rk**

Humanistka

Zapowiedziany wkrótce Zjazd Przeciwgruźliczy wywołał w prasie naszej szereg artykułów, gdzie w sposób wszechstronny i wyczerpujący zostało oświetlone zagadnienie walki z chorobą o tak bardzo społecznym charakterze jak gruźlica. Niestety, nie wszyscy autorzy tych artykułów potrafili zachować należyty umiar i powagę przy omawianiu tej doniosłej sprawy. Krystyna Dąbrowska w artykule p.t. „Skacze rtęć w termometrze" wyzyskała sposobność do niczym nieuzasadnionej napaści na zmarłego przed wielu laty na gruźlicę poetę Jerzego Lieberta. Aby nie być gołosłownym, przytaczam, tu odpowiedni fragment artykułu:

„Skacze rtęć w termometrze, przyjechała rodzina"...

— Tak zaczynał cykl swoich beznadziejnych wierszy Karol Liebert, młody poeta, gruźlik, przebywający w dalekim sanatorium. Śledził słupek rtęci, przyglądał się w lusterku swoim coraz to bardziej błyszczącym oczom i coraz głębiej zapadającym policzkom i czekał na śmierć.

Myślał, że nie ma już większej tragedii niż ta jego własna. Nie wiedział pewnie nic o gruźlicy, której nie leczono w sanatorium. Tej, którą można było oglądać na Annopolu i w suterenach na Kaczej".

Pomijam tu już niesolidne dla szanującego się publicysty przeinaczenie imienia znanego bądź co bądź poety i cytatu z jego wiersza, lecz w imię prawdy muszę sprostować pomyłkę znacznie gorszą. Jerzy Liebert nie umarł w sanatorium. Cierpiał ciężką biedę, która była najpewniej źródłem jego choroby i przyczyną jego śmierci. Gruźlica jego była „tą samą, którą można było oglądać na Annopolu i w suterenach na Kaczej". A przytem zdanie ob. Dąbrowskiej: „myślał, że nie ma już większej tragedii niż ta jego własna" — jest zdaniem wybitnie antyhumanistycznym, żeby nie wyrazić się gorzej. Dla każdego człowieka śmiertelnie chorego śmierć jest największą tragedię. Zwłaszcza dzisiaj, w ustroju socjalistycznym, którego jednym z zasadniczych postulatów jest poszanowanie człowieka, w ten sposób pisać nie wolno. Rozumiemy doskonale, że ob. Dąbrowska mogła mieć w zasadzie słuszne intencje przeciwstawiając społeczne sprawy

sprawom jednostki, nie upoważnia to jej bynajmniej do szydzenia z czyjejkolwiek śmierci, a tymbardziej ze śmierci poety, który umarł w nędzy. **rdc**

Żałosny katalog czyli o szkodliwości uproszczeń

Troską postępowych artystów plastyków, mających bezwarunkowo krytyczny stosunek do schyłkowych, dekadenckich form sztuki mieszczańskiej i wypracowujących nakładem wielkiego, rzetelnego wysiłku nowe, ambitne formy sztuki ludowej w oparciu o całokształt najlepszych wzorów, jakie pozostawiła przeszłość, — była zawsze sprawa najgłębszych nieporozumień, jakie powstać mogą wówczas, kiedy, ośmielony ich krytycznym stosunkiem do pseudonowatorstwa sztuki późnomieszczańskiej, podniesie głowę i zacznie się „odegrywać!" ponury mieszczański kołtun, kołtun, który z wielkich dyskusji o malarstwie, z wielkiego procesu poszukiwań, niczego nie zrozumiał, pozostając przy tępo naturalistycznym stosunku do sztuki sprzed lat kilkudziesięciu, kołtun który ośmielony rzeczowymi głosami krytyki impresjonizmu czy kubizmu — zacznie jak za czasów śp Zachęty — stawić żmurkę i Styków, obracając w niwecz pedagogiczne wysiłki kilku pokoleń artystów i krytyków.

Wydawałoby się, że po niezliczonych artykułach, notach, prośbach, groźbach i błaganiach, czas najwyższy skończyć z nieuctwem, że jeśli nie autorzy, to wydawcy zastanowią się choć przez chwilę, zanim ogłoszą bzdurę drukiem. Niestety! Wydział Oświaty, Kultury i Sztuki przy Zarządzie Miejskim w Poznaniu w związku z rozsądnie skądinąd pomyślaną objazdową wystawą prac poznańskich plastyków, wydał katalog (wrzesień 1949) zaopatrzony w dwa wstępy, gdzie o malarstwie drugiej połowy XIX wieku czytamy: „Tematem płócien było życie salonowe, wyuzdanie i fałszywy blask t.zw. wyższych sfer, a często dziwaczne wybryki i zachcianki, oraz niezdrowe podświadome impulsy i instynkty znudzonej przesytem złotej młodzieży. I dalej wyjaśnienie: „Powstały w ten sposób obce ludowi i wrogie kierunki pod nazwą symbolizmu, impresjonizmu, kubizmu i in.". Zsypawszy w ten sposób wszystko razem do jednego worka i potrząsnąwszy nim zręcznie, aby niczego nie można było rozpoznać, autor nabiera nowego oddechu i załatwia się ze sztuką polską. Lecz o dziwo! Nie tylko Gierymski i Michałowski ale także np. Malczewski i Wyspiański, znajdują łaskę w oczach szanownego teoretyka. Dlaczego? Bo „w dziełach tych wielkich artystów znajdują wyraz dążenia wolnościowe narodu, jego cierpienia i radości, jego walka i życie" Prosto i jasno. Najgłupszy nawet czytelnik zrozumie teraz, że symbolizm jest zły, a Malczewski dobry.

W drugim ustępie inny autor stwierdza, że artyści poznańscy są na dobrej drodze, ponieważ „mają sposób malowania mniej lub więcej naturalistyczny, to znaczy starają się dokładnie naśladować przedmioty, tak jak one przedstawiają się w naturze", etc. etc.

Aby dać zupełny obraz zuchwałego nieuctwa, należałoby chyba przytoczyć oba wstępy do katalogu in extenso. Sądzimy jednak, że zainteresowanym wystarczą przytoczone próbki, które powinny się stać ostrzeżeniem na przyszłość. Czytelnik nie jest tak głupi jak szanowni autorowie myślą. **Ks.**

WŁODZIMIERZ A. MARTIN

O Chinach wczorajszych

Reportaże E. E. Kischa „Chiny bez maski"*), drukowane były w roku 1932. Dziś po tylu latach i przemianach trudno uświadomić sobie co to były za czasy. Dno kryzysu w St. Zjednoczonych. Reperkusje w Europie takie, że sytuacja wydawała się beznadziejna. Jedyne sensowne rozwiązanie — socjalizm — odrzucone a priori, ale jego groźba tak wielka, że w Niemczech przygotowuje się dojście do władzy Hitlera. Pojęcie faszyzmu uzmysłowione dotychczas przez nieco operetkowego duce, nabrało nagle wyglądu konkretnego i przerażająco bliskiego. Byłoby jednak naiwnością sądzić, iż ogół w przybliżeniu chociażby, wyobrażał sobie, jak będzie wyglądał „nowy, wspaniały świat" w brunatnym kolorze. A jednak byli ludzie, którzy widzieli i rozumieli problem narastających sprzeczności ówczesnego świata i do nich zaliczał się właśnie E. E. Kisch. Za obowiązek swój uważał on znalezienie się tam, gdzie najostrzej występowały konflikty chwili.

W Chinach właśnie mógł zobaczyć już wypadki, które w przyśpieszonym tempie ukazywały podszewkę ekonomiczną jednocześnie kilku zagadnień. Owo cui prodest państw kolonialnych, eksploatujących Chiny, oraz dopuszczonej do udziału w wyzysku ludu, burżuazji chińskiej, pokazuje nam autor w perspektywicznym skrócie, który może nie wyjaśnia wszystkiego, ale daje dostateczne pojęcie o tym przynajmniej, co autor sam widział i do czego miał dostęp. Zastrzeżenie konieczne, ponieważ na dwustu stronach nie można dać pełnego obrazu takiego zagadnienia, jakie stanowiły i stanowią Chiny. Chiny to nie państwo, ani nawet szereg państw — to kontynent — przypomina autor posłowia, Stanisław Brodzki. Nawiasem mówiąc warto czytanie książki zacząć od tego właśnie posłowia. W roku 1932 działy się na owym kontynencie rzeczy, które znacznie zrozumialsze stają się po naszych doświadczeniach z czasu ostatniej wojny.

Reportaże Kischa dotyczą wyłącznie terenu Szanghaju, ale obserwacje z trzeciego, co do wielkości, portu świata są tak typowe dla zjawisk, których doniosłość chce nam autor unaocznić, że zupełnie wystarczają do zbudowania sobie właściwego obrazu całości.

W momencie przyjazdu, Kisch zastaje w Szanghaju następującą sytuację: Japończycy dokonują uderzenia na Wusung, port zamykający wejście z Jang-Tse-Kiangu do rzeki Wangpoo, nad którą leży Szanghaj. Zdobywając niszczą wszystko, ale nie tak znów wszystko, jakby się zdawać mogło w czasie wojny. „Wszystko" dotyczy jedynie tego co chińskie. A więc i Chińczyków i ich domów, natomiast bombardowanie nie niszczy własności mieszkańców dzielnicy międzynarodowej, a więc wszelkich urządzeń przemysłowych, wyraźnie zresztą zaznaczonych flagami państwowymi właścicieli, aby nie było żadnych wątpliwości, że nie stanowią one własności chińskiej. Mimowolt nasuwa się analogia z systemem postępowania z czasów ostatniej wojny, gdzie działo się podobnie, gdy chodziło o ochronę potencjału przemysłowego wielkich instytucyj kapitalistycznych. Może reżyseria była nieco bardziej ukryta. Na niszczenie mienia ludzkiego i masowy mord z premedytacją patrzyli w Chinach przedstawiciele specjalnej komisji ówczesnej Ligi Narodów, a raczej czynili wszystko, żeby nie patrzeć. Celowa bezczynność miejscowych potentatów przemysłowych tolerujących napaść Japończyków dowodziła, że imperializm na każdej szerokości geograficznej ma te same cechy, jest tak samo zaślepiony w klasowym egoizmie i nie chce, a może nie jest w stanie dostrzec jawnych symptomów swego upadku.

Reportaże Kischa dotyczą zjawisk ekonomicznych oraz pochodnych. Analiza ich, a raczej kąt patrzenia jest marksistowski. Forma opowiadań jest przy tym wynikiem dużego talentu oraz niebylejakiej umiejętności przystosowania się autora do możliwości pojęciowych ówczesnej publiczności. W taki sposób porusza np. Kisch zagadnienie zorganizowanego bandytyzmu. Z okazji pogrzebu „czcigodnego" Chińczyka, który przypadkowo był obieralnym „szefem" (a jakże!) działającej na terenie Szanghaju instytucji bandyckiej, o wzruszającej nazwie „Towarzystwa Udzielającego Pomocy i Opieki", możemy obserwować, do czego mogą doprowadzić stosunki wytworzone przez tzw. wolną konkurencję i wolną grę interesów. Systematyczna, zorganizowana grabież jest tolerowana i popierana przez skorumpowane sądownictwo oraz nieuczciwą administrację państwową przy zupełnym desinteressement sektora międzynarodowego, który przecież miał głos decydujący w sprawach kilku milionów mieszkańców miasta. Ciekawe, że ten typ zrzeszonego bandytyzmu jest prawie zawsze uwarunkowany określonym układem sił społecznych. Jeżeli prawdą jest, że prohibicyjny akt Volsteada był przygotowany przez tracących zyski po pierwszej wojnie światowej, przemysłowców amerykańskich, to skutki, w postaci gangsteryzmu, dowodzą tego w sposób dostatecznie chyba jaskrawy. Przykład drugi: Sycylia i jej „mafia", instytucja nie do pomyślenia w innych warunkach politycznych i społecznych. Wydaje się, że różnica w eksploatowaniu społeczeństwa przez kapitalistów i bandytów polega tylko na różnicy użytych środków. Pierwsi robią to pośrednio przez pieniądz, drudzy prymitywniej, w sposób sobie dostępniejszy. Skutki społeczne tak udanej współpracy są na szczęście identyczne: wzrost uświadomienia społeczeństwa i organizowanie się upośledzonych.

Również i inne opowiadania Kischa ukazują nam problem zorganizowanej przez państwa kolonialne eksploatacji ludu chińskiego z dopuszczeniem burżuazji rodzimej do podziału mniejszych zysków. Ciekawe zagadnienie stanowi sprawa riksz, które, jak się okazuje, nie są bynajmniej chińską instytucją narodową. Riksza jest wynalazkiem europejczyka, protestanckiego duchownego M. B. Baileya, który wprowadził ją w Tokio około roku 1870. Jest ona klasyczną już dziś ilustracją, na różne sposoby przez Kischa powtarzanej prawdy, że na niektórych szerokościach geograficznych, wobec mnogości materiału ludzkiego, człowiek, a raczej jego mięśnie, są w eksploatacji znacznie tańsze od najtańszego motoru czy siły pociągowej zwierząt. Nie żałuje nam Kisch obrazu i innych form eksploatacji pracy. Dowiadujemy się rzeczy, które dziś, w dobie rozpowszechnionego ustawodawstwa ochrony pracy, wydają się być potworne. Potworne były zresztą zawsze. Okazuje się, że w Szanghaju 40% robotników przemysłu włókienniczego stanowiły dzieci. I to przeważnie małe dzieci. Od szóstego roku życia. Aby podnieść wydajność ich pracy, sprowadzono maszyny przystosowane do ich wzrostu. Łatwo odpowiedzieć sobie na pytanie, czyj przemysł trudni się produkcją masową maszyn dostosowanych do wzrostu dzieci. Nie ma chyba straszniejszego oskarżenia imperjalizmu, niż taki typ produkcji w krajach, gdzie nic nie krępuje „wolnej inicjatywy" obywateli. Zniósłszy u siebie ustawowo pracę dzieci, państwa kapitalistyczne udają, że nie wiedzą w krajach eksploatowanych o stosowanu jej na znacznie większą skalę.

Ale problem eksploatacji pracy ludzkiej w jeszcze ostrzejszej formie występuje w tak zwanych „godown", czyli składach i urządzeniach portowych Szanghaju, trzeciego pod względem wielkości portu na świecie. Olbrzym ten jest obsługiwany w sensie przeładunku, dosłownie rękami ludzkimi. Przy najnowocześniejszych składach i przetwórniach obrotu uszlachetniającego, zbudowanych z wielkim nakładem pomysłowości, wysiłków i kosztu, nie ma żadnych urządzeń do podnoszenia ciężarów, czy do transportu wewnętrznego. Wszystko odbywa się bądź na plecach ludzkich, bądź ludzkimi rękami. Dźwigi, suwnice, konwojery nie opłacają się wobec taniości rąk ludzkich. Głód pracy w nieuprzemysłowionym i celowo nieuprzemysławianym kraju obniża cenę usług ludzkich poza granicę wytrzymałości, nie ludzkiej już a zwierzęcej. W tych warunkach żniwo chorób społecznych, a przede wszystkim gruźlicy, nie ma sobie równych na świecie.

W opowiadaniu „Intratny proceder" zajmuje się Kisch zagadnieniem niemniej tragicznym w skutkach, jakim jest handel bronią. Tu znów musimy uświadomić sobie rozmiar problemu. Od roku 1850, mniej więcej, Europa a później i Ameryka znopatruje w broń chłonny rynek chiński. Prawie przez sto lat, z niewielkimi przerwami, trwa w Chinach wojna domowa. Broń dostarczana jest Chińczykom przeciwko... Chińczykom. Granice wpływów koncernów zbrojeniowych rozdzielają świat — stwierdza Kisch — wyraźniej, niż granice państw. Proces tworzenia się kolonialnych form eksploatacji, zaczyna się od urobienia pojęć językowych. Tak zwany pidgin-english, którym od wielu lat posługują się ludzie w koloniach nie tylko anglosaskich, nie pochodzi, jak można by sądzić z brzmienia, od słowa pigeon, co by nieźle nawet tłumaczyło jego infantylność — gołębi język, ale od zniekształconego, o wiele bardziej drapieżnego słowa business, czyli interes. Również inne ważne wyrazy są wypożyczone ze sfery businessu, toteż na zasadzie pojęć tego języka można sobie wyrobić opinię o duchu jego wynalazców i nauczycieli. I dalej: „w języku tym nie istnieje pojęcie: dawać — stwierdza Kisch. Daję — jest tylko wyrażeniem giełdowym, poza tym nie daję nic, któż bowiem mi coś da?. Tłumaczenie tego słowa w pidgin-english brzmi: pay — płacić. Słowo jest — w tym języku tłumaczy się: należy. Bo robotnik nie jest, tylko należy do kogoś". „Nigdzie — powiada Kisch — nie demaskuje się tak imperializm, jak w tym swoim tworze językowym". Język ten nie ma oczywiście ani gramatyki, ani słownika, co jest dość charakterystyczne dla jego wynalazców.

Kischowska analiza i ujawnienie rzeczywistości chińskiej z roku 1932, czytane dziś, ma już w naszych oczach dwa rozwiązania. Pierwsze, zawarte w posłowiu St. Brodzkiego, które uprawnia do przewidywania ostatecznego zwycięstwa Chin Ludowych (rok 1948) i drugie, w postaci rezultatów ofensywy Armii Rewolucyjnej w roku 1949, uwieńczonych w dniach ostatnich proklamowaniem Chińskiej Republiki ludowej. Dają one już pewność wyniku w postaci zwycięstwa mas ludowych, czym raz na zawsze przekreślają czasy wyzysku i eksploatacji. W ciągu niewielu miesięcy życzenie autora posłowia, aby „książkę tę, po upływie krótkiego czasu, móc traktować jako kronikę historyczną", stało się rzeczywistością.

Książka jest wznowieniem, wyszła pierwszy raz przed wojną w tym samym doskonałym tłumaczeniu.

Włodzimierz A. Martin

*) Egon Erwin Kisch: „Chiny bez maski", przeł. Tadeusz Zabłudowski. Wyd. „Prasa Wojskowa", str. 206, z posłowiem Stanisława Brodzkiego.

KORESPONDENCJA

O koncepcję Słowackiego

W artykule Mieczysława Jastruna „Ariel w podróży" („Kuźnica" Nr 37) przeczytałem, że „najmłodsi poloniści (Markiewicz) wracają do dawnej koncepcji Słowackiego — płaczliwego niedołęgi i snoba". Nie mogę się pod tą formułą podpisać. M. Jastrun czyni tu zapewne aluzję do mojej recenzji o „Portrecie Słowackiego" Hertza („Odrodzenie", nr. 36). Rzeczywiście, pisałem w niej w takim tonie o Słowackim, ale w jakim kontekście? Poto przecież, żeby stwierdzić, iż portret złożony z takich tylko rysów — mimo że autentycznych—byłby powierzchowny i krzywdzący. I jeśli Jastrun pisze pouczająco: „A przecież ten chory, wątły człowieczek przeszedł ogromną ewolucję w swym krótkim życiu", to i ja akcentowałem wielkość przemiany wewnętrznej w Słowackim, napięcie jego walki myślowej o zasadnicze prawdy filozoficzne, heroizm wyprawy poznańskiej. Wnioski Jastruna z mojej recenzji są tym dziwniejsze, że zawiera ona właśnie zastrzeżenia wobec *zbyt daleko*, moim zdaniem, posuniętego rewizjonizmu w książce Hertza, że zarzuca jej — mniejsza w tej chwili o to słusznie czy nie — iż nie oddaje w dostatecznej mierze *wielkości duchowej* Słowackiego. (Podobnie zresztą pisze Jastrun: „... jakiś odblask ujemnych opinii o Słowackim padł na jego (Hertza) książkę, stąd może to nadmierne podkreślanie „dandyzmu" Juliusza, jak gdyby poza światem glansowanych rękawiczek nie było wielkiej drogi poety, która poprzez piekło ówczesnej Europy i emigracji zawiodła go do nieśmiertelności"). Sądzę, że takie stanowisko jest zupełnie różne tak od koncepcji brązowniczej, jak i od koncepcji Słowackiego — niedołęgi i snoba.

Powracam do tej sprawy na łamach „Kuźnicy" nie dla polemicznego pieniactwa, lecz — pro domo nostra; ażeby od imputowanej przez Jastruna opinii odgrodzić „najmłodszych polonistów", do których był łaskaw mnie zaliczyć znakomity recenzent „Kuźnicy". **Henryk Markiewicz**

TREŚĆ Nr 38

Jacek Bocheński — Festiwal młodości; **Zofia Lissa** — „Pierwszy" etap; **Adolf Sowiński** — Zamek; **Mieczysław Jastrun** — Nowe przekłady z Aleksandra Puszkina; **Kandyd** — Zły sen; **Jan Kott** — Narodziny powieści albo o Danielu Defoe III. Robinson i Piętaszek; **Stanisław Wygodzki** — Czy napiszę powieść?; **Ariadna Demkowska** — IV Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Mariańskich Łaźniach; **Jerzy Kowalewski** — W sprawie „Siódmego Krzyża"; **m** — Miesięcznik „Literatura Radziecka"; **Bolesław Dudziński** — Opowieść o niezwykłym lotniku; **Przegląd prasy; Noty; Książki nadesłane.**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80. w. 45 Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-84497